



izabela szolc

Cichy zabójca

CICHY

ZABÓJCA

Znam sto sposobów umierania,

Często myślę: może bym spróbowała, Rzucę się pod ciężarówkę,

Gdyby akurat przejeżdżała.

Albo skoczę z mostu

Tyle, że pracy dołożę

Wszystkim tym, Co czyszczą morze.

Znam truciznę do wypicia,

Często korci mnie skosztować,

Ale mama kupiła ją do zlewu

I nie chcę jej marnować.

Edna St. Vincent Millay (przeł. Tomasz Bieroń) 1.

Zapach pasty do podłóg, kredy i dziecięcego potu - wszystkie szkoły pachną tak samo. Wszystkie i zawsze.

Anna odruchowo sięgnęła do widmowej blond kitki.

Zdumiał ją ten gest, ta pamięć, jaką ma ciało; przecież włosy ścięła dwanaście lat temu, zaraz po urodzeniu Kuby.

Chłopca, który jest na tyle duży, aby zrobić coś, za co dyrekcja wzywa matkę do szkoły. Anna od zawsze miała problem z właściwym opanowaniem układu władza - podwładny.

I nie znosiła przesiadywać w jakichkolwiek antyszambrach, a w szczególności takich z twardymi ławami. Westchnęła i wyciągnęła długie nogi, których kształt - wart uwagi - maskowały obszerne bojówki.

Cmoknęła, bo pomadka na ustach była jedynym odstępstwem od codziennej normy - czy raczej ustępstwem na rzecz pani dyrektor. Wciągnęła zapach szkoły- Czuła ulgę, że przynajmniej ten etap życia ma za sobą. Co prawda, wciąż nie mogła uwierzyć, że jest matką nastolatka. Sama niczym uczennica trzymała alaskę zwiniętą w kłęb na kolanach — tylko taka kurtka kryła obszerną marynarkę, a tylko obszerne marynarki maskowały zawodową wypukłość pod lewą pachą.

Anna sięgnęła po gazetę porzuconą przez kogoś na końcu ławy; jej blada twarz o regularnych rysach od razu nabrała rumieńców. Tytuł artykułu głosił: „Testy zbyt trudne dla policjantów”. Anna przygryzła wargi, nie zdając sobie sprawy, że rozmazuje purpurową pomadkę na zębach.

„Test składa się z dwóch części - kilkudziesięciu pytań oraz rozmowy z psychologiem policyjnym. Oprócz tego przyszedł policjant musi rozwiązać tzw. test wiedzy ogólnej”.

- Pani Hwierut? - Drzwi gabinetu otworzyła niemłoda kobieta, pasująca idealnie do wyobrażeń Anny. Loki, ciemny puder, bluzka ze sztucznego jedwabiu opięta na imponujących kulach biustu. Tylko łososiowy lakier na paznokciach, które trzymały klamkę stanowił zaskoczenie.

Najwyraźniej w dwa tysiące ósmym roku róż był passe.

Dyrektorka wskazała dłonią krzesło.

- Zdenerwowana?

- A nie powinnam być? - spytała Anna, siadając w miejscu petenta. Wzrok zarejestrował żółknącą palmę w głębi ciemnego gabinetu i popiersie Jana Pawła II na biurku wielkości galeonu - dwadzieścia lat temu z pewnością nie stał tutaj brąz księcia Poniatowskiego. „Gdybym zarabiała

więcej, posłałabym Kubę do prywatnej szkoły".

- Jakub nie zaszczycił nas dziś swoją obecnością.
- Podobno pani dyrektor zawiesiła go w prawach ucznia, aż do ferii.
- Powiedział, dlaczego?
- Nie. Miał za to opatrunek na rękę.
- A pod opatrunkiem ślady zębów. Uderzył kolegę w usta.

Na lekcji. Na mojej lekcji matematyki.

- Mój Kuba?!
- Matki nigdy nie wierzą. Wie pani chociaż, o co poszło?
- Kuba mi nie powiedział.

Dyrektorka milczała, przerzucając leniwie jakieś papiery.

Na ścianie tykał anachroniczny zegar z kukułką.

- Pani pracuje?
- Tak - odpowiedziała Anna, dodając w myślach "Wysoki Sądzie".
- Może powinnam porozmawiać z ojcem Kubę?
- Nie utrzymujemy ze sobą kontaktów. I znowu chwila milczenia. Zaterkotał wybawczy dzwonek

na przerwę.

- Porozmawiam z nim... Niestety, bardzo się śpieszę... -

Anna wstała, poprawiając marynarkę.

- Rozumiem. - Nie podały sobie dłoni. Paznokcie Anny były poobgryzane, ale ręce mocne, bardzo mocne. - Jeszcze jedno. Musi pani pokryć koszty dentysty. Tamten chłopiec stracił dwa zęby.

Na korytarz wylewał się rozwrzeszczany potok uczniów.

Omijał wysoką sylwetkę Anny niczym skałę i płynął dalej.

Najwyraźniej dyżurujące dwójki nauczycielskie nie robiły na dzieciakach wrażenia. Ani rejestrujące kamery, podobnie jak przyciasne mundurki... Anna była pewna, że takiej szkoły nie byłaby w stanie ukończyć. Szkoły z gliniarzami - bo oto minął ją urzędujący patrol młodziutkich policjantów, czatujących na szkolnych handlarzy narkotyków. Policjanci rozpoznali ją, jeden się uśmiechnął, drugi uniósł brew na widok jej umalowanych ust

Bez kłopotu znalazła odrapane drzwi uczniowskiej toalety i zanurzyła się w siwe smużki nielegalnego, tytoniowego dymu. Z niezwykłą czujnością szcęknęły zasuwki dwóch kabin. Anna Hwierut pochyliła się nad zmatowiałym lustrem i chusteczką higieniczną zaczęła ścierać szminkę.

- Wcześniej było lepiej - odezwała się jedyna odważna: dziewczynka, co najwyżej czternastoletnia, która z wysoko-

ści, szerokiego marmurowego parapetu obserwowała dyskretnie Annę, paląc cienkiego papierosa. Parapet pamiętał

czasy przedwojenne, podobnie jak cała szkoła, która ocalała jedynie cudem, stojąc na lewym brzegu Wisły.

- Doprawdy?
- Ja nigdy nie kłamię.

Mimo wszystko poranek był piękny. Anna celowo nie ruszyła swojego fiata uno z blokowego parkingu (mały, zielony, łatwy do odkurzenia - jako kobieta Anna nie cierpiała na żaden freudowski kompleks i nie musiała wzorem swoich kolegów rozjeżdżać się vanami). Po prostu chciała rozruszać kości. Ostatnio za dużo czasu spędzała za biurkiem albo na kanapie a nie była przecież gwiazdą popu jak J. Lo i nie powinna hodować dużych pośladków. Wcisnęła ręce do kieszeni i ruszyła do pracy. Mocne buty kruszyły cienki lód na kałużach. Minęła widmo Stadionu

Dziesięciolecia, jeszcze bardziej wyludnione niż zwykle. Zniknęli nawet Afrykanie, którzy z turystycznych łóżek sprzedawali sportowe buty -oczywiście „ze skóry antylopy, bo dziewczyny na takie lecą”.

Spostrzegła, że policyjny radiowóz zawija pod przęsło mostu Poniatowskiego, a dwa inne parkują w okolicach rzecz-nych chaszczy. Latem koczowali tam rosyjscy handlarze, którzy oszczędzali na czynszach. Ale zimą? Nie miała żadnych

złych przeczuć. W ogóle jakby zrobiło się spokojniej. Jar-mark Europa zatrzasnął swoje podwoje i mniej było kradzieży kieszonkowych. Odpłynęły pieniądze, a z nimi pomniejsza mafia. Ostatni „spławik” wypłynął z Wisły trzy miesiące temu. Badania DNA zidentyfikowały w topielcu chłopaka, który zaginał zeszłego Sylwestra. Od tygodnia nie pokłóciła się przez telefon z ojcem, jej mary nie skończył jeszcze w poprawczaku, ustąpiły eksplozje na Słońcu, a ona sama przestała zabijać samotność kochając się nocami sama ze sobą... Po co więc te wężące radiowozy? Przyśpieszyła kroku, choć wiedziała, że i tak nie ma szans zdążyć na poranną odprawę.

Komenda - niczym potiomkinowska wieś - z zewnątrz prezentowała się całkiem nieźle. Przed frontem białego budynku powiewały flagi: państwowa i unijna. Pogrzebowe cyprysy ktoś zaradny próbował przerobić na choinki ob-wieszając je kolorowymi lampkami. Dawno było po Trzech Królach, ale Anna wiedziała, że światełka skończą kadencję może na Wielkanoc albo nawet po czerwcowym święcie policji. Poza czerwiec nie zaglądała do kalendarza, bo pod koniec miesiąca siódmego wypadały jej urodziny.

Trzydzieste i trzecie. Chciałaby mieć czternaście lat i popalać w szkolnym kiblu. Nie, nie czternaście. Dwanaście

- dwa lata później paliła w szpitalnej toalecie, razem z przeżartą przez raka matką. „Niedługo wrócę do domu, słoneczko”. Świerbiło ją, żeby kopnąć w metalową popielnicę, ale drzwi komendy były całe przeszkłone a policja musiała dbać o swój image.

Komisarz Anna Hwierut przekroczyła próg budynku. Parę głów podniosło się na jej widok: petenci, którzy przyszli zgłosić kradzież samochodu albo samochodowego radia.

Ci, którzy nie wiedzieli jeszcze jakie plamy na tapicerce zostawia proszek do zbierania odcisków palców.

Dokładnie pomiędzy automatami z kawą i czekoladą straszyły szare, zbrojone drzwi, prowadzące do serca komendy. Anna przesunęła przepustkę przez czytnik i znalazła się po- śród bogactw sezamu. Pieniądzy z dotacji miasta wystarczy-ło, by zrobić szybki lifting na zewnątrz budynku, położyć kafelki w poczekalni, uzbroić recepcję w dwa komputery i uwić.

„dziecięcy pokój przesłuchań”. Im dalej w głąb, tym bardziej wszystko było po staremu. Strzępiące się linoleum, pistacjowa lamperia na ścianach, widoczna w miejscach nie zastawionych rozchybotanymi szafkami na akta. Anna słyszała miarowe stukanie przemysłowych maszyn do pisania marki łucznik i poczuła, że jest w domu.

Lisia głowa sekretarki Marioli pojawiła się w drzwiach, nim Anna zdążyła zrzucić kurtkę.

- Nie było cię na odprawie.
- Byłam w szkole. Kuba narozrabiał.
- Nareszcie. Bałam się, że wychowasz maminsynka. Anna skrzywiła się nieznacznie.
- W każdym razie Pietrzak czeka na ciebie. Ten Wieniawski...
- Wienkowski.
- Możliwe, że w końcu będzie zeznawał. Ale postawił wa-runek - zawiesiła głos - że go odwiedzisz na Kamczatce.

Sama. Leci na ciebie. Stary chce, żebyś to wykorzystwała.

- Inspektor Pietrzak ogląda zbyt dużo filmów.

- Za chwilę jadą do Białołęki po aresztanta, powiem, żeby poczekali, możesz się z nimi zabrać. No bo przecież zrobiłaś sobie spacer, prawda?

- Skąd wiesz?

- Sekretarce szefa nic nie umknie... - Znacząca pauza. - I w co ty się ubierasz? Nie masz chłopaka czy co?

Starsi szeregowi Straszewski z Bryziewiczem mogli zaproponować Annie jedynie „kanapę” radiowozu. Żaden nie okazał się na tyle rycerski, aby zamienić się z nią miejscami. Przepisy. Straszewski klasnął drzwiami, a Anna znalazła się w czymś w rodzaju klatki, oddzielonej od kierowcy i mundurowego pasażera szybą z pleksi.

„Kanapa” była niczym innym, jak szarym plastikowym katafalkiem plus uchwyt na szlauch - za pomocą wody i hydrantu często budzono (a przy okazji myto) niejednego „trupa”.

Wpadła w oko socjopacie. Kleili się do niej też pijacy, klo-szardzi i desperaci. Jej dziwaczne kontakty z półświatkiem rujnowały policyjną statystykę. Znikomym pocieszeniem było, że bez obaw lgnęły też do niej małe dzieci i duże zwierzęta. Bardzo znikomym.

Wieńkowski zyskał ksywę Wieniawski, bo jeszcze do niedawna towarzyska śmietanka stolicy miała go za utalento-wanego młodego skrzypka. Później utalentowany skrzypek z niewzruszoną miną (patrz, jak on się trzyma!) na cmentarzu w Wólce Węglowej przyjmował liczne kondolencje, jako młody wdowiec. Teraz siedział w areszcie śledczym i prawdopodobnie rozgrzewał duszę przed dożywociem w chłodnej celi, wybielonej z braku farby pastą do zębów. Tobiasz Wieńkowski. Skurwiel.

Tobiaszowi z Biblii, który ocalił dziewicę od śmierci z ręki demona, towarzyszył anioł pod postacią psa.

Wieńkowskiemu chyba tylko psia wesz.

Wokół więziennego muru stali strażnicy z krótkofalówkami. Nie zwracali uwagi na grypsujących, którzy stojąc pod oknami wyższych od muru kondygnacji krzyczeli coś po swojemu do cieni na wysokościach. Ignorowali również kobiety, które w granej na opak „scenie balkonowej” z Romea i Julii pielgrzymowały do swoich zatrzaśniętych kochanków.

Strażnik sprawdził wjazdówkę, powiedział coś do niewidzialnego zwierzchnika, radio zaterkotało i więzienna bra-ma z mitologicznym namaszczeniem godnym toczono pod górę kamienia Syzyfa zaczęła sunąć na bok. Anna zawsze czuła się tu nieswojo. Nie wierzyła w resocjalizację, starała się nie wierzyć w pragmatyczne odosobnienie (równie obecnie niemodne jak różowy lakier do paznokci i były minister sprawiedliwości, nazywany tu potocznie ZZ-Topem). Już przez pierwsze dni tymczasowego, co bardziej pojętni aresztanci uczyli się otwierać (przynajmniej teoretycznie) zamki samochodów, choć w celi wylądowali za zwyczajny włam: kamień w szybę, radio i w nogi. Nie było też tajemnicą, że strażnicy więzienni i policjanci nie przepadali za sobą. Testy dla przyszłych policjantów były przecież „za trudne”; ten kto je oblewał a jednak szedł w zaparte jak najlepsza recydywa, reguły lądował na etacie klawisza. Oglądu polskiego więziennictwa nie polepszyła Annie opinia wydana przez ukochanego wuja. Wuj poznał

je od podszewki, a w końcu umarł w więziennym bloku operacyjnym. Pokój jego duszy. Pokój duszy żyjącemu ojcu Anny, który w ramach pokuty za grzech starszego brata został policjantem. A ja?, przemknęło Annie przez głowę, za co ja się umartwiam?

Wewnątrz sięgnęła do lewej pachy i odpięła kaburę z pistoletem, ale wykrywacz metalu i tak zaczął ponuro buczeć.

- Ona ma gwoździe w nodze - strażnik usprawiedliwił

Annę przed nieobytym kolegą. Tamten zagwizdał, a ona poczuła się bardzo zmęczona.

Przemierzała pokój przesłuchania wielkimi krokami. Ściana i ściana. Lustro. Głową w mur.

Wprowadzono aresztanta.

- Zdjąć mu kajdanki, pani komisarz?

- Nie - odpowiedziała swobodnie.

- Pani komisarz mnie nie lubi - stwierdził Tobiasz Wieńkowski, jeszcze zanim strażnik zamknął drzwi. - Albo się mnie pani boi?

Jego czarne, wciąż długie włosy ostro kontrastowały z jasną cerą. Był zbyt ładny jak na mężczyznę.

Może musiał

urodę doprawić okrucieństwem?

- Chciał pan ze mną porozmawiać.

- Chciałem popatrzeć. Mówić to mogłem i z pani brzydkim partnerem.

Kochany Szelig - jakże on się jeżył, kiedy wchodził do tego pokoju.

- Nadal pan myśli, że się z tego wywinie?

- Lubię grać.

- Jak wielu.

- Ja jestem wirtuozem, pani komisarz.

- I zagra mi pan pięknie na wizji lokalnej?

- To właśnie chciałem pani oznajmić.

- Już się szykuję na bis. A gdyby pan wtedy „zabisował”, nadal grzałby pan krzesło w filharmonii narodowej.

Milczał chwilę.

- Pani komisarz, czego nie robi się dla sztuki. Nie przewidziałem, że ukochana Klaudia wydestanie się z płonącego samochodu. Oczywiście mógłbym wrócić... Ale wtedy spaliłbym sobie ręce skrzypka.

- Pan nie może się doczekać, żeby to wszystko opowiedzieć.

- A wy nie dość długo czekaliście?

- Więc kiedy?

- Wizja może być choćby jutro.

Skinęła głową i ruszyła ku drzwiom, żeby wezwać strażnika, choć i tak musiał widzieć jej ruch w weneckim lustrze. Dobrze, że starła pomadkę.

- Pani komisarz - usłyszała za sobą - jeszcze momencik.

Wie pani co chcą zrobić moi teściowie? Odebrać mi własność grobu, w którym pochowałem Klaudię. Grobu gębinowego, dodam. Dwójki. Dwójki dla nas obojga.

- Zamordowałeś im córkę i się dziwisz?

- Co Bóg złączył, niech człowiek nie próbuje rozdzielić.

Strażnik nie przychodził, więc musiała jednak zastukać.

2.

„Zło wynika z okoliczności”, przeczytała Anna w jakimś kryminale.

W domu kaloryfery były odkręcone na maksimum, a Kuba snuł się po mieszkaniu na bosaka, w luźnych spodniach od dresu i w t-shirtcie z kotem Garfieldem. Widząc matkę, natychmiast włożył kapcie. Anna w pierwszej chwili chciała podejść do okna i szeroko je otworzyć. Nienawidziła zaduchu. Zimno, chłodny wiatr - to utrzymywało ją w formie. W stanie koncentracji. Wyśmiałaby każdego, kto by powiedział, że się umartwia. Była dużą, silną kobietą, typem skandynawskim. Inaczej niż Kuba... Kiedy była nie w sosie (rzadko, za to zawsze po drinku) zastanawiała się, czy jakiś troll nie zaklął jej syna, tak jak trolle zaklinają szczenięta.

Kuba wrodził się w dziadka i w ojca. W dwóch mężczyzn, którzy przeorali Annie życie wszerz i wzdłuż. Miał gęste czarne włosy dziadka Andrzeja i jego ciemne oczy. Usta, kształt podbródka były natomiast maską zdartą z biologicznego ojca. Podobnie nadgarstki, ramiona, nawet stopy. Anna musiała nauczyć się patrzeć na nie bez złości.

- Jak minął dzień? - zapytał Kuba tonem, jakim dziecko naśladuje dorosłego.

- Bywało lepiej. - Poszła do łazienki umyć twarz. Stał w progu i patrzył, jak ignoruje tonik sięgając po kostkę mydła.

Obserwował matkę przenosząc ciężar ciała z palców na pięty. Z pięty na palce.

- Żadnej telewizji, komputera ani pizzy - powiedziała sięgając po ręcznik.

Pokiwał głową, choć nie mogła tego zobaczyć.

- Nadal mi nie powiesz, o co poszło?

- Mamo...

- Musiałeś uderzyć tego chłopca akurat na matematyce? -

Jakie niedorzeczne pytanie.

- Z matematyki jestem dobry. - Ukryła uśmiech. Dzieci i ich obraz świata. „Zło wynika z okoliczności”. - Pomóc ci przy kolacji?

- Tylko nie baw się nożem.

Sięgnął po chleb tostowy, a matka otworzyła lodówkę. Na osobnych półkach leżały wędliny i sery. Kuba był wegetarianinem. Na drzwiach zamrażarki przykleił magnes z ry-sunkiem cielątka i napisem „Kochasz. Nie jedz”. Anna konsekwentnie ignorowała ten komunikat. Jej świat należał do drapieżników.

Telewizor milczał.

- Joss Stone czy Ayo? - Kuba pomachał płytami kompaktowymi. Wciąż czuł się niepewnie, inaczej próbowałby przeforsować Evensceana. Anna zastanawiała się, czy jest bardzo rozczarowany, że jego matka nie wygląda jak wokalistka tego zespołu. Drobną, bladą driadą, z czarnymi włosami do pośladków... A później przyszedł jej na myśl kompleks Edypa.

- Ayo.

- Mamo, nie chcę jechać na ferie do babci do Krakowa.

Chcę jechać do dziadka do Łodzi.

- Ty naprawdę lubisz ranić ludzi.

- Nie, mamo... Możemy powiedzieć babci, że jestem chory albo coś... Wymyślić jakieś alibi.

- Kuba!

- Ja naprawdę nie mogę tam teraz pojechać! - Trzasnął talerzem.

- Ale dlaczego?
- Bo to mama ojca!
- O to pokłóciłeś się z kolegą? O ojca?

Znowu dopadły ją wyrzuty sumienia. Znane wszystkim samotnym matkom. „Gdybym ja... Gdyby on... Gdybyśmy...”

- Dobrze, zadzwonię do dziadka.
- Super!
- Pod warunkiem, że pogadamy poważnie po powrocie.
- Stoi.
- A teraz idź do swojego pokoju. Idź do pokoju, bo chcę włączyć telewizor. I trzymaj się z daleka od komputera.

Oglądała wiadomości, by za moment przełączyć kanał na Animal Planet. I TVN Style. I Fashion. I... Nie potrafiła znaleźć sobie miejsca. Miała ochotę na koncert skrzypcowy. Szeroko otworzyła okno.

„Zło to nieobecności dobra”. Święty Augustyn?

Wykręciła kierunkowy, a później numer do ojca.

- Słucham - brzmiał trzeźwo, ale Anna podświadomie szukała w jego głosie tego załamania, a później charakterystycznego dla pijanych podbicia nuty. Utrzymywał, że nie pije od pięciu lat, od kiedy przeszedł drugi zawał.

Utrzymywała, że mu wierzy. Żeby pić z bajpasami, musiałby być samobójcą a gdyby był samobójcą, ze swoim charakterem zakończyłby życie szybko i sprawnie.

- Anna? Dzwonisz z pracy? Co u mojego wnuka?
- Jesteśmy w domu. Kuba przywalił komuś w szkole.
- Popatrz, popatrz.
- Ma opatrunek na rękę.
- Wywalili go?
- Jeszcze nie. To znaczy zawiesili. - I siedzi sam w domu?
- Nie. Tak. Zabiorę go do pracy.
- Naucz go pisać raporty.

Ojciec zaczyna grać dobrego dziadka. Jakby nie pamiętał, że jego własna córka biegała po podwórku z kluczem na szyi, a kiedy znikał nocami, przenosiła pościel do starej gdańskiej szafy i w jej wnętrzu układała się do niespokojnego snu.

- Kupujesz mu krojony chleb? Masz w domu czajnik elektryczny? Powiedziałaś, żeby nikogo nie wpuszczał?

- Tato, on chce przyjechać do ciebie na ferie.
- Myślałem, że wysyłasz go do Krakowa.
- Też tak myślałam.
- Nadal chce być policjantem?
- Kuba?
- Ostatnio chciał.
- Dostyc policjantów w rodzinie.
- Skoro i tak nie chodzi do szkoły, to może zabiorę go do Łodzi wcześniej.
- Nie ma pośpiechu. W pracy mam teraz „pokój dziecięcy”, tam będzie mu dobrze.

Wszedł jej w pół słowa:

- Przyjadę po niego jutro.

- Jutro mam wizję lokalną, tato.
- Przyjeżdżam po wnuka - odłożył słuchawkę.

W pokoju syna było ciemno nie licząc nikłej poświaty, jaką dawała podświetlana figurka Snoopiego. - Kuba?

Odrzucił kołdrę, którą miał nasuniętą na głowę. Błysk la-tarki. Ścisnął w garści książkę. - Co czytasz?

- Puc, Bursztyn i goście.

Jakoś jej nie zdziwiło, że nie był to Harry Potter.

- Też to czytałam.

- Wiem. Zresztą to twoja książka. Przywiozłem ją z Łodzi.

Przez myśl przemknął jej obraz małej, pucłowatej blondynki uwielbiającej psy. Nigdy żadnego nie miała. Te z książek musiały jej wystarczyć.

- Dzwoniłam do dziadka. Przyjedzie po ciebie już jutro. Po co masz się kisić sam w domu. -

Zapaliła lampkę nocną. -

Popsujesz sobie oczy.

- Dzięki.

- Wstaję wcześniej rano. Nie będę cię budzić. Dziadek ma klucze. - Pauza. - Daj mamie buziaka.

Przyległ do niej, a ona irracjonalnie próbowała wyczuć w jego włosach woń talku dla niemowląt.

Została policjantką, bo Kuba „za wcześnie” się urodził, a raczej nie dał na siebie czekać. Marzyła, żeby studiować ar-cheologię. Ale została sama z dzieckiem - ojciec załatwił jej zajęcie przy obsłudze kserokopiarki na nieistniejącym już komisariacie. Z nudów kopiowała na maszynie zdjęcia zachodnich gwiazdorów z niemieckiego „Bravo”. Później wszystko potoczyło się własnym torem. „Nie mów co życie może dla ciebie zrobić, zastanów się co możesz zrobić dla życia” - to parafraza z Kennedy'ego, zastrzelonego w 1963.

Jej nie było jeszcze na świecie.

- Kuba, bądź miły dla dziadka. Nie jest już taki jak kiedyś.

- To znaczy jaki?

- Silny. Nie jest taki silny. Odkrył uczucia.

3.

Leżała nieruchomo i próbowała przebić wzrokiem gęstniejącą ciemność.

Nie myślała o sobie. Myślała o żonie Wieńkowskiego.

Młodej kobiecie o imieniu Klaudia, której życie - wszystkim tak się wydawało - przypominało historie z kolorowych, lśniących magazynów. A zakończyło się burymi fotografiami w brukowcach. Na grób ktoś rzucił

białe róże - przynajmniej, przegryzając się przez całą szarość, można się było tego domyślać. Białe róże dla martwej księżniczki.

Co było szklaną trumną? Może namiot tlenowy na oddziale oparzeń? Trzy tygodnie Klaudia była zawieszona w tej gorzkiej przestrzeni pomiędzy ziemią a niebem. Padały kolejne diagnozy: szok, śpiączka, drogi oddechowe niedrożne. Zatrzymanie akcji serca.

Annę wręcz chorobliwie interesowało, czy Klaudia choć na chwilę odzyskała przytomność? A jeśli zobaczyła swojego czarnowłosego księcia zabawiającego się zatrutym jabłkiem?

Pamiętała co kiedyś powiedział ojciec: policjant, który zbyt blisko zbliżył się do ofiary, sam zamienia się w jej mordercę.

Anna musiała napić się wody. Cichutko, aby nie obudzić syna, puściła Kasię Nosowską. Głos wokalistki sprawiał, że nie czuła się tak samotna.

„Nie jestem z tych co bez lęku patrzą w ciemność, Co słysząc szmer, jak w filmach schodzą do piwnicy.

Ja jestem z tych co nakrywają głowę kołdrą.

Z tych, którym strach uniemożliwia oddychanie.

Ja jestem z tych, którzy się boją zamknąć oczy By przespać noc zapalają wszystkie światła.

Ja jestem z tych co sami z sobą rozmawiają, By nie lękać się, cichutko sobie nuca.

W nocy każdy przedmiot oczy ma".

Anna знаła tekst na pamięć, dużo czasu minęło od momentu, kiedy usłyszała go po raz pierwszy. A czas wciąż płynął.

Żałowała tylko, że przestała wierzyć w bajki.

- Jedyne co widzimy to następstwo zdarzeń - mruknął

komisarz Wojtek Szelig. Anna z policyjnym partnerem siedzieli w samochodzie zaparkowanym na wysepce. Mgła dopiero co zaczęła unosić się znad drzew. Szosę otaczał las.

Czekali na konwój, który miał dowieźć Wieńkowskiego na wizję lokalną. Dawniej grzali by ręce o kubki cierpkiej kawy z termosu. Czasy się zmieniły, teraz ściskali puszki energizującego burna - tyle, że od tego jeszcze bardziej cierpły palce.

- Nie śpieszy im się, co?

- To ty chciałaś przyjechać wcześniej.

- Sama nie wiem, po co.

- Nie przyznawaj się do tego. Pamiętaj o złotej zasadzie: Never complain. Never explain.

Wieńkowski opanował ją do perfekcji.

- Jego adwokat będzie wnosił o niepoczytalność klienta. Ta wizja lokalna bardziej potrzebna jest im niż nam.

- Mnie w ogóle nie jest potrzebna - Anna odstawiła puszkę.

- Po czymś takim od razu myślisz, że wszyscy mężczyźni to świnię.

- Wojtek...

- Może i świnie, ale nie mordercy. Ja zamordowałem tylko paprotkę.

Anna pociągnęła nosem: papierosy, choinka zapachowa o aromacie wanilii, która ostatnimi siłami starała się zabić woń nikotyny. Koci mocz ciągnący gdzieś od policyjnego swetra. To zapach Klemensa - zazdrosny rudy kocur obsikał kiedyś jej porzucone wieczorowe buty. Wojtek i Klemens: dwóch niewykastrowanych kawalerów - może nie sprzecząją się o łowiska, ale jeden drugiego utrzymuje w stanie „wolnym”.

- Kogo szukają nad Wisłą? - Anna próbowała zmienić temat.

- Jakiegoś chłopaka z Otwocka. Matka martwi się, że mógł skoczyć z mostu Poniatowskiego. Dobrze, że nie pracujemy w cieniu Golden Gate.

- Cholerny gówniarz.

- Swoją drogą dziwię się, że Pietrzak nas do tego nie przydzielił. W końcu co „splawik” to i my.

Minął ich policyjny furgon w towarzystwie dwóch radiowozów. Wojtek Szelig wrzucił kierunkowskaz i ruszył.

Anna myślała o dwóch żywiołach. Wodzie i ogniu.

Jednak ktoś musiał wstać wcześniej od nich. Na lawecie stał zwęglony seat, którego ruszono z policyjnego parkingu.

Seat Klaudii. Policyjny polonez miał „grać” samochód Tobiasza, Anioła Śmierci. Przyleśne miejsce wypadku odgrodzono żółtą taśmą, którą bezskutecznie rwał wiatr.

Wypalona trawa zdążyła się już odrodzić, zwiędnąć i znowu czekała na wiosnę. To, że śnieg już stopniał, na równo cieszyło ją jak i policjanta z kamerą do rejestracji wizji lokalnej. Za taśmą, opierając się o duże drzewo, stała dwójka paparazzich. Jednego, z długą siwą brodą jak u proroka i pociągłą twarzą Chrystusa Anna знаła lepiej niż by chciała.

Tobiasz Wienkowski przestał rozcierać nadgarstki podrażnione kajdankami i pomachał Annie: - Nie podejdzie pani bliżej, pani komisarz?

Czując, że się czerwieni, pokręciła głową.

- Będę mówił więc głośno. Co za piękna sala koncertowa - rozejrzał się, rozkładając ramiona.

- Pajac - mruknął ktoś.

- Na co jeszcze czekamy?

- Pan mecenas się spóźnia...

Z piskiem opon podjechał srebrny mercedes. Ptaki poderwały się z drzew z krzykiem. Annie wydawało się, że ptasi chór brzmi jak krzyk kobiety.

- Widziałaś jej zdjęcia? - zapytał Szelig. - Tak.

- A takie sprzed wypadku?

Jedno było wpięte w akta. Brunetka z nienagannym makijażem, pomimo upału pozująca na tle piramid. Okulary zsunęła na czoło. Mruży oczy. To ich podróż poślubna.

- Jesteś do niej podobna.

- Przestań do cholery! To nawet nie jest śmieszne. -

Gdybyś włożyła perukę... Mam nadzieję, że zamkną tego skurwiela i wyrzucą klucz. Do Wisły. I nie każą go nam wyławiać.

Pierwsza wersja tej historii była do zniesienia. Dostawczy polonez z prawdopodobnie pijanym kierowcą uderzył w seata. Seat stanął w płomieniach. Pasażerowi, mężczyźnie, udało się wyskoczyć. Nie był przypięty pasami, siła uderzenia nie wyrzuciła go przez szybę, drzwi szczęśliwie się nie zaklinowały. Jedyne o czym pomyślał, to by biec po pomoc.

W samochodzie płonąła jego żona. To ona prowadziła.

Gdy przyjechała policja i straż pożarna, płonęły krzewy a iskry skakały po drzewach. Tutaj nastąpił cud, krótkoter-minowy, a jednak cud - na chłodnej ziemi leżała kobieta.

Wydostała się z płonącego wraka. Piekącą twarz zdołała pomazać błotem. Była nieprzytomna, jej oczy wołały w niebo.

- Każdy przeżywa ból po swojemu! - wrzasnął Tobiasz.

Jego żona ubezpieczona była na pięćset osiemdziesiąt tysięcy złotych. Tobiasz sfingował dwa podpisy na trzech poli-sach swymi drogocennymi palcami. Wpadł w długi -

wyścigi, karty, walki psów, czy to ważne? Miał obiecanie, że jeśli nie odda forsy, to ktoś połamie mu te palce.

Kupił poloneza (trucka z dużą paką) podając fałszywe dane. Do kompletu parę litrów benzyny i te cholerne dwie jedenastolitrowe butle z gazem, które ostatecznie nie wybuchły.

I batonik na innej stacji, bez limitu minimalnej wartości zakupów, za które można płacić kartą.

Polonez plus gaz plus batonik. Jazda.

Powiedział Klaudii przez telefon, że odwołano mu koncert, ten spoza Warszawy (co było prawdą, wiedział o tym od paru dni), więc to dobry moment, żeby pokazać jej prezent. Och, drugą rocznicę ślubu mają za miesiąc?

Dopiero? Nic nie szkodzi. Czeka tu i tu, pod lasem. Jak dojechał? Autobusem oczywiście, niech ona, Klaudia, weźmie seata. Musi skręcić w lewo przy takim i takim znaku... Czy ma wziąć wino? Czy ma wziąć prezerwatywy?

Trzasnął polonezem w seata. Widział, jak Klaudia uderza głową o kierownicę. Cofnął, odjechał. Wrócił piechotą.

Wcześniej z poloneza ściągnął gaz i benzynę, ukrył w krzakach. Benzyna pięknie wsiąkała w żoniny sweter, nie zostawiała plam jak wino z rozbitej butelki. Co zrobił z butlami? Coś, kurwa jego mać, źle. Nie jest z kamienia, było nie było stracił żonę, w głowie mu się mać.

Odebrać pieniądze z polis i żyć. Wymyślił już białe róże na pogrzeb, tego będą oczekiwali teściowie (rodziców już nie miał).

„Byłeś i jesteś naszym synem. Przychodź do nas, kiedy będziesz chciał". Pomyśleć, że ta suka konała trzy tygodnie. Wszystko zepsuła. Wszystko mu zepsuła.

- Poczęstuj mnie papierosem - poprosiła Anna Szeliga.

- Przecież ty nie palisz.

- Dawaj.

Wyciągnął z ust camela (cieszył się jak dziecko, kiedy wróciły po przerwie do kiosków) i włożył jej między wargi.

Przytrzymał. Anna wzięła głębokiego macha, odepchnęła twarde, znajome ciało.

- Nigdy więcej tak nie rób - warknęła i odeszła rozkopując ściółkę i rozbite szkło. Tobiasz patrzył zamyślony.

Na kartce pozostawionej w kuchni na stole: „Kocham Cię, Mamo. Jakub". I ani słowa od ojca.

Anna sprawdziła, czy na pewno zabrali rękawiczki, szalik, chłopięcą czapkę.

Puc, Bursztyn i goście leżący na porządnie naciągniętej (to ojciec) pościeli. Goście, jak nazywali się goście? Mikado i Thusdeyek. Pekinczyk i piesek rasy angielskiej urodzony we wtorek.

Kuba urodził się nad ranem w niedzielę.

Postanowiła, że się nie rozplacze. Anna długo stała pod prysznicem. Łez i tak nie byłoby widać pośród spływających strug gorącej wody.

4.

„Uporządkuj chaos w głowie”, mamrotała, kiedy suszyła włosy. Mamrotka, która urodziła się w głowie Zenona z Cypru i miała opanować chaos wokół nas. Opanuj ciemność swoich trzewi, a spokojnie wyjdiesz w ciemność nocy... Zenon? Każdego żuła nazywano teraz „Zenonem”.

Założyła stanik sportowy (miała duże piersi, co w tej robocie akurat nie pomagało). Zatałkowała pachy, wbiła się w koszulkę z długim rękawem, jakie noszą alpiniści - z tka-niny pochłaniającej pot. Nad siniakami zebranych w czasie służby nie mogła zapanować, ale nie chciała mieć obtarć od kabury pistoletu. Piekły jak diabli, w dodatku bez żadnej sentymentalności satysfakcji. Kiedy ostatnio spała z facetem? Bóg raczy wiedzieć.

Uwielbiała noc i nocne dyżury. Cieszyło ją, że junior pojechał do dziadka. Może iść do roboty, nie zastanawiając się, czy mały wysadzi kuchenkę. Opiekunka? Kogo stać na opiekunkę. Policjantki musiały nauczyć się naginać zapisy kodeksu rodzinnego. Właśnie one. Kiedy rozmawiała z młodymi matkami zatrzymanymi przez patrole za rodzicielską

nieodpowiedzialność, czuła, że to co płynnie cytuje to zwykli mowa-trawa. Znowu znaleźli noworodka ze srebrnym sznurem pępownicy wciśniętego jak krępująca paczka do ujścia wiślanego kanału wodociągowego.

Zatrzymał się na kratce separatora. Lepsze to niż aborcja?

Bardzo, bardzo kochała Kubę, a kiedyś - jego ojca. Noc była cicha. W weekendy dyskoteka na Wale Miedzeszyńskim przekonywała, że „jesteś szalona”. W pobliskim przejściu podziemnym pełno było później ludzkiego gówna i ludzkiego szkła. Noc kryła te odpadki miłosiernie. Matka

- noc, poranek - stróż prawa. Anna pomyślała, jak to dobrze, że dziś nie jest weekend. I że druga sekcja (przestęp-stwa przeciwko mieniu) uporała się ze „sprawą szczura”.

Zwierzak na pobliskiej budowie przez trzy kolejne dni włą-czał system alarmowy, syreny wyły nad rzeką: wstawajcie, wstawajcie! Zdesperowani posterunkowi chcieli już strzelać do nieruchomych urządzeń. Na szczęście zmądrzał zarówno szczur (uciekł) jak i administracja budowy, która wzięła się za przeprogramowanie systemu zabezpieczeń.

Noc i cisza.

Rzeka pod płytami mostu lśniła jak skóra węża. Tuż za plecami Anny, przy brzegu, zaświecił policyjny reflektor.

Maszerowała gwizdząc.

W komendzie było pusto. Dyżurujący rozwiązywał krzyżówkę wciśniętą pomiędzy karty księgi zgłoszeń.

Annie nie chciało się siedzieć za rozhuśtanym biurkiem w „gabinecie”. W pokoju do dziecięcych przesłuchań, na pół-ce za rzędem identycznych miśków, które sprezentowała hurtownia zabawek (miśków made in China, szytych przez chińskich skazańców) miała ukrytą paczkę papierosów.

Odnajdywała je po ciemku...

- Przepraszam!

Ktoś tu był. Serce podskoczyło Annie do gardła. Strach jest najlepszym przyjacielem policjanta. Błysnęły jarzeniówki.

Na dwóch zestawionych fotelach, mrużąc oczy, pólleżała jakaś kobiecina.

- Ten starszy policjant. Duży i łysy... - zawahała się, nie wiedząc, czy może powiedzieć „łysy” a przecież inspektor Pietrzak istotnie był łysy jak kolano - ...pozwolił mi się tu przespać. Późno

przyjechałam z Otwocka. Mam w Warszawie siostrę, ale tak budzić kogoś po nocy...

- Niech pani śpi - Anna obróciła się na pięcie. Adrenalina na równi z niezadowolaniem rozlewała się jej po mięś-niach.

Zniszczona przez życie kobieta podniosła się jednak i zbierając swoje reklamówki, poszła za nią.

- Przyjechałam, bo szukacie państwo mojego syna.

- Nie musiała pani przyjeżdżać.

- Musiałam się naprosić... Policjanci powiedzieli mi nawet, że w końcu sam wróci. A do czego on ma wracać? Dziewczyna wyjechała mu do Anglii, koledzy z bloku też.

- Pani się prześpi.

- Nie mogę spać. Szczególnie przy rzece. Boję się, że Tomasz przyjechał się tu utopić.

Ach, samobójca z „Golden Gate”.

- Zostawił list? - Idiotyczne pytanie. Gdyby zostawił list, to przecież zaczęliby go szukać od razu.

- Nie. Ale Tomek nie jest zbyt bystry. Jeszcze nie opóźniony, ale nie zbyt bystry - powiedziała to otwarcie, choć była zawstydzona.

- Pani mąż?

- Został w Otwocku.

- Niech pani śpi. Znajdziemy Tomasza - mowa-trawa -
pewnie sam wróci, młodzi mają swoje własne ścieżki.

- Wyszedł w nocy. Właściwie to o czwartej nad ranem.

- Skąd pani wie?

- W Otwocku też czasem nie mogę spać. A jemu zdarzało się tak wychodzić. Nosiło go.

- Osoby - Anna odpowiedziała podręcznikowo - które popełniają samobójstwo, są często bardzo silne psychicznie

- No to dlaczego zostawił to?

Anna spojrzała na gazetowy wycinek. Linie nożyczek przylegały idealnie do linii podziału kolumny.

- On to wyciął? - Ja.

- I nie ma pani reszty?

- A mam - ucieszyła się, sięgając do reklamówki. - Jakoś nie chciałam wyrzucić.

Anna spojrzała na datę wydrukowaną u góry strony.

- To z lipca. - Długo to trzymał, pomyślała. Niedobrze.

- Miał to pod łóżkiem. Pod poduszką znalazłabym szybciej, bo sama mu słałam. Ale wejść z odkurzaczem, o nie, nie wolno było!

Powinni to dołączyć do akt. Wydrukowane wspomnienia ojcapo zmarłym synu. Namiastka zmartwychwstania?

Zmartwychwstanie jest nadzieją dla żyjących, alejaką nadzieją jest samobójstwo dla martwych? Wróciło do niej wspomnienie: nie jest w pokoju pełnym misiów, tylko w szpitalnym korytarzu pachnącym lizolem. Pielęgniarka coś do niej mówi. Coś ostatecznego. Nie może przypomnieć sobie, gdzie był wtedy ojciec. Za to pamięta, jak schodami, biorąc po dwa, trzy stopnie biegła na kobiecy oddział

onkologiczny. Salowa -u szczytu klatki - pucowała obdarte z pościeli, pokryte dermą łóżko na kółkach. Wtedy już wiedziała, że matka umarła.

- Pani władzo?

„Był cudownym dzieckiem (...) Z chłopca przeistaczał się w mężczyznę (...) Postawił sobie diagnozę (...) W nocy skoczył z mostu Poniatowskiego (...) Nie skończył 23 lat (...)”

- Ile syn ma lat?

- Skończone siedemnaście.

Skończone siedemnaście (...) Jeszcze nie opóźniony, ale niezbyt bystry (...) Srebrny sznur pępowiny (...) Mąż w Otwocku (...) Siostra śpi w Warszawie (...)

- Znaleźliśmy topielca - zameldował aspirant, błocąc traktorami butów cały korytarz.

Kobieta zbladła, jeden kącik ust runął w dół i tak pozostał.

Pot, nieoswojona ciemność, udar.

Anna z trudem ją przytrzymała. Z potrąconych reklamówek potoczyły się cebule i konserwa turystyczna.

- Dzwon po karetkę - powiedziała, kładąc kobietę na podłodze. Była bardzo spokojna.

Zadudniły męskie kroki.

Weszli z Szeligiem do miejskiego prosektorium. Za plecami zostawiali śnieg. Anna cieszyła się, że pogoda się zepsuła. Miała wciąż odbite w duszy uczucie dziewczynki wchodzącej wprost z rozslonecznionego dnia w doczesną krainę śmierci.

Jako dorosła policjantka zauważyła, że teraz bardziej chyba rusza ją sytuacja odwrotna: porzucenie wnętrza kostnicy na rzecz rozjaśnionego świata. Świata, który toczy się dalej, w ogóle nie zważając, że ktoś został

zamordowany. „Nikt nie jest samotną wyspą”? Bzdura, niestety.

Szli korytarzem, który wydawał się mroczny, pomimo tego, że nad ich głowami trzeszczały jarzeniówki.

Pchnęli drzwi do biura.

- Mogliście zapukać - Luiza, doskonały anatomopatolog, z którą Anna od zawsze miała na pieńku, wcierała krem w dłonie. Na nieskazitelnym czystym biurku parowała kawa.

- Poczęstujesz nas? - błysnął uśmiechem Szelig. Annę ten uśmiech zabolął. Nie dlatego, że Wojtek i Luiza kręcili kiedyś ze sobą... Dlaczego ty tak jej nie lubisz, dociekał

Szelig, podejrzewając babską zawiść. Bo Luiza Podwysocka, kiedy zsuwała okulary, była uderzająco podobna do Nicole Kidman. Jak Anna miała wytłumaczyć mężczyźnie coś, co według jej spostrzeżeń zdarza się tylko pomiędzy kobietami. Tą odwrotność zakochania. Jedna spojrzy na drugą, przeskakuje iskra i ...nic. Nic na wieki wieków. Nie dogada się z Luizą. Kropka.

- Kawa jest z automatu.

- O, wreszcie go wstawili...

- Jest szósta rano. Nie spodziewałam się o tej godzinie gości.

- Masz trochę roboty - bardziej stwierdziła niż spytała Anna.

Luiza wzruszyła ramionami. Anna była przekonana, że tylko ze względu na Wojtka nie dodała: Ja jestem zajęta, bo odpoczywacie wy.

- Śmierć nie wybiera, wybierz Propera - zanucił Wojtek.

Okno było do połowy zamalowane, zakratowane i wpuszczane w ziemię. Może ktoś mógł dojrzeć czubek głowy Luizy, ale ona nie mogła zobaczyć śniegu topniejącego na tro-tuarze.

- Lubisz tę swoją piwnicę?

Luiza uśmiechnęła się szeroko do Anny.

- Jeśli chcecie wejść dalej, musicie założyć klapki i far-tuchy. Chodzi wam o tego „spławika”, którego przywieźli w nocy? To powinniście założyć maseczki. Ostatnich parę dni było cieplejszych i gazy wypchnęły go na powierzch-nię.

- Mężczyzna?

- To był mężczyzna - zamruczała dopijając kawę.

- Utonął?

- Prawdopodobnie. Jeszcze się do niego nie zabrałam. -

Wypuściła ich przodem, zamknęła biuro na klucz. -1 dzisiaj nie zabiorę. Mam tu zaczadzone bliźnięta i inne sma-kowitości.

Ominęli główną salę sekcijną, prowadziła ich do chłodnej kanciapy.

- Trzymam go tutaj, żeby... - machnęła ręką - trochę od-parował.

Ciało pod prześcieradłem było rozdęte.

- Młody, stary?

- Tak namoczony, że gładki jak po liftingu. W dodatku cały naskórek odszedł. - Włożyła rękę pod pistacjowe prze-

ścieradło, wysuwając trupa zniekształconą dłoń. Kolor szarego mydła, błękit paznokci i coś jakby rozsypany ziarnisty pieprz. - Widzicie to? Przebarwienia. Coś więcej niż plamy wątrobowe. Założę się, że gdybym go obróciła, całe plecy miałby w tych fałszywych znamionach. Ten gość to staruszek. Dobrze po osiemdziesiątce. A zmiany barwnikowe sugerują, że zbierało mu się na raka.

- Samobójca?

- Nic wam teraz nie powiem. A tu - kopnęła w szaro-niebieski worek - są jego ubrania. Jak na razie grzebał się w nich tylko asystent prosektoryjny, który rozbierał ciało. -

Z żelaznej nerczki stojącej na aluminiowym stelażu wyję-

ła nożyczki, podejrzenie podobne do tych, których manikiu-rzystka używa do skracania paznokci.

Anna chciała już stąd iść. W masce i klapkach czuła się idiotycznie. Powinna poprosić o pokazanie całych zwłok, ale nie chciała.

- Wyszuszysz je i posegregujesz?

- Od tego mam ludzi... Jeszcze jedno, przywieźli go w jednym bucie, drugi pewnie utknął w mule. Męski półbut był zniszczony, ale robiony na zamówienie. Mój dziadek -

Luiza zamyśliła się - mógłby takie nosić... Aha, podobno miał też na sobie dwie pary kalesonów, dwie koszule, dwa swetry...

- Kloszard? - zapytał Wojtek.

- Możliwe.

- Ilu bezdomnych mamy w Warszawie? - Anna z wyraźną ulgą wyszła na śnieg.

Jej partner wzruszył bezradnie ramionami.

- Pięć, dziesięć tysięcy?

- Mógł znaleźć się pośród nich chory staruszek samobójca.

Tylko jakiego kloszarda stać na profesorskie buty?

- O czym myślisz?

- Cóż za kobiece pytanie, Szelig. Teraz zastanawiam się chyba nad dziadkiem Luizy.

5.

Anna i Szelig zaparkowali na wysepce przy Wale Miedzeszyńskim. Tuż obok stała dyskoteka „Silver Moon”. Anna знала ją i jej nie lubiła. Wyglądała jak barak oblany kubłami kolorowych farb. Muzyka też była jak z kubła. W soboty wewnątrz nie dało się wcisnąć igły. Ani na zewnątrz. Samochody oblepiały dyskotekę przez całą noc, a nad ranem parking zaczynał zapełniać się młodymi, oszołomionymi ludźmi. Anna miała nadzieję, że przynajmniej kierowcy byli w miarę trzeźwi, ale nadzieja matką głupich. Matką tych dzieciaków, którzy czekając, aż o brzasku Warszawa wypuści ich ze swoich macek, po pięciu, sześciu, czasem siedmiu ładowali się do aut i odjeżdżali. „Silver Moon” była wrzodem na ambadorskim cieple Saskiej Kępy. Co weekend wrzód pękał rozrzucając pokruszone butelki. Ich mozaika potrafiła rozrosnąć się aż pod elitarne Liceum Francuskie. Kiedyś Anna marzyła, by jej syn tam chodził...

Tamte dzieci i tamta młodzież: nocą wszystkie koty są czarne, ale od razu można było zobaczyć, że do „Silver Moon” nie przychodzą dzieciaki urzędników. Chłopcy mieli na sobie sportowe ubrania albo garnitury żywcem zwleczone z grzbietu akwizytorów. Dziewczyny, dziewczęta

- żadna nie preferowała czerni. To były tanie księżniczki ubrane jak lalki w pastele. Róż, błękit, dużo bieli. Biel świeciła we fluorescencyjnym świetle dyskotekowego wnętrza. Świeciły twarze pokryte brokatem. Dziewczyny bawiły się, dziewczyny się kochały. Anna bała się o nie, choć gardziła ich małomiasteczkowym gustem. Dla nich była za pięć dwunasta. Przez rok, dwa. A kiedy kurant wybił północ, wszystko się kończyło. Księżniczki starzały się rodząc hałaśliwe dzieci, gotując obiad dla męża mechanika, biegając ze święconką do kościoła i czytając

"Życie na gorąco". Discopolowe Jesteś szalona było hitem tej dyskoteki.

- Idziesz? - zapytał Wojtek. Rozpięła pas bezpieczeństwa.

Schodzili na dół, do Wisły. Krzaki cięły ich po kolanach. Tu i ówdzie Anna widziała zaskakująco świeżą trawę. Już po-godziła się, że nie będzie śniegu tej zimy. Śniegu, który potrafi wszystko zakryć i rozgrzeszyć swoją bielą. Gdzieś w oddali rozległo się szczekanie psa. Do Anny docierał

dziwny dualizm tego miejsca. Uwielbiała dziki brzeg Wisły. Zapachy tego miejsca. Czyste, jakby jasne powietrze, które oczyszczało jej mózg. Z drugiej strony spodziewała się, że zrobi krok dalej i zamiast wygaszonego ogniska znajdzie odrąbaną głowę. Dziki brzeg rzeki był idealnym miejscem na popełnienie zbrodni.

Wyszli na plażę. Woda zażółcona po roztopach, a na hory-zoncie wspinające się ku niebu miasto. Widok nie do pogardzenia. Jedyne w swoim rodzaju. Jej widok.

Na piasku odbite były jeszcze ślady po policyjnych reflektorach. Oraz ślady psich łap. Pozostawiona żółta taśma szeleściła. Anna pochyliła się, poprawiła ją. Wojtka nie było za nią. A więc to tu woda wyrzuciła ciało starca.

Pogrzebała palcem w mule. Pod jej kolanem zazgrzytał

plastikowy, żółty numer, jakim oznacza się położenie zwłok i dowodów fotografowanych na miejscu przestępstwa. Zupełnie jakby zwłoki nie były ostatecznym dowodem na istnienie zła. Tak, technik się wkurzy, jak spostrzeże, że pogubił swoje numerki. Bingo! W policji coraz gwałtowniej brakowało pieniędzy.

Anna powinna myśleć o topielcu, ale krnąbrna pamięć przywoływała obraz jej pierwszego nieboszczyka. To było na zwykłym osiedlu, w zwykłym M-4. Krew zakrzepła na linoleum. W czymś, co było utajnioną meliną doszło do bójki. Śmierdziało poharatanymi wnętrznościami i przetrawionym alkoholem. Pan Zenon dziabnął pana Józefa kosą. A pan Józef oddał mu niefortunny. O tak, na swój

pierwszy raz Anna nie miała jednego, ale od razu dwa trupy. I dochodzenie, które mogło trwać co najwyżej tydzień. I pierwszy raport do napisania. Kiedy wówczas rozglądała się po miejscu zbrodni czuła irytację - i nie dlatego, że marzyła o wielkiej sprawie (a marzyła; marzyła, choć oznaczało to cudzą śmierć). Czuła oddech, męski oddech na swojej szyi. Jakiś mundurowy chodził za nią krok w krok. Odwal się, chciała wrzasnąć. Łaził za nią, żeby podtrzymać, gdyby Annie zdarzyło się zemdleć na widok swojego pierwszego denata. Nie mogła ułożyć się obok nich i spać roboty technikom. A jeśli miałyby wymiotować, to należało ją odciągnąć na bok. Chwycić za głowę i... Zapytała wtedy głośno, czy ktoś z kolegów policjantów ma odstąpić kanapkę.

Kolejnym razem poprosiła o papierosa. Ale kolejnym razem nie było już tak łatwo. Sama się zdradziła. Pojechali do lasu, nocą. Szybko ustawili reflektory. Kopczyk był

świeży. Koledzy wzięli się do rozkopywania ziemi. Było gorące lato, ale nie pachniało mchem, lecz maścią Wicka -

rozsmarowa-na pod nosem zabijała zapach zgnilizny. A przecież wszyscy wiedzieli, że denatkę pochowano tu ledwo wczoraj. Jej chłopak, po ciężkiej nocy z widmami sam przyleciał na komendę. Później siedział zatrzaśnięty w radiowozie i cały się trząsł. Zanim pochował dziewczynę, owinał ją w firankę. Rozjaśnioną wybielaczem przez matkę jego narzeczonej. Bóg wie, o co się pokłócili...

Uderzył ją w głowę kryształową popielniczką. Jeden cios i koniec... Kiedy spoceni policjanci odłożyli już łopaty, Anna wciągnęła ginekologiczne rękawiczki i podeszła do jamy.

Zobaczyła jasne włosy pełne grudek ziemi, z kilkoma skrzepami krwi. Odsunęła całun. Twarz nie spuchła, nie przyciemniała, nie była nawet sina. Wcześniej morderca zamknął swojej dziewczynie oczy. Wyglądała jakby spała.

Cóż za frazes...

Taka ładna, śpiąca księżniczka. Jeszcze, przez dzień, dwa...

Przynajmniej przez parę godzin, dopóki nie dobiorą się do niej na sekcji. Anna poderwała się z kolan i pobiegła pomiędzy odległe sosny. Poczowała gałęzie na swoich plecach, a później zwymiotowała. Bojowy chrzest... - I jak?

Znalazłaś coś?

- Nie - obróciła twarz do Wojtka - a ty? - Tylko to.

Pomyślała, że to mewie jajo, lecz on bawił się ciężką piłeczką golfową. Miała napis „Napoleon”.

- Kiedy byłem mały na plaży znajdowałem muszelki, ale to... jakiś znak.

- Jednak nie dotyczy chyba naszej sprawy - powiedziała wolno. I myślała wolno. Rozkładał ją brak zimy i mrozu czy ta wczesna, nienaturalna wiosna?

- Nie sądzisz, że ten „profesor” był za stary, żeby popełnić samobójstwo? Po co się śpieszyć, kostucha i tak stała za progiem.

- Cholera - Anna mruknęła. - Cholera.

Zawsze jest się za starym albo za młodym na śmierć. Nigdy w wieku akurat. Nigdy.

- Chodź, wracamy na komendę.

- Jutro w gazecie będzie zdjęcie Tomasza Wilka - powitała Annę Mariola. W dłoni trzymała konewkę. Uwielbiała kwiaty. Nawet te zakurzone rachityczne badyle, które stały w policyjnych pokojach.

- Słucham? - Zapatrzyła się w plecy Wojtka, który mijając z trudem wszechobecne szafki z aktami, zniknął w gabinecie Pietrzaka. Złoży raport i odciąży ją. Jak to się działo, że mężczyźni w policji niemal prostą linią jak brzytwą dzielili mundurową populację na pół? Po jednej stronie dżentelmeni chroniący każdą kobietę, po drugiej babscy bokserzy?

- Tomasz Wilk, chłopak z Otwocka - powtórzyła sekre-tarka. - Daliśmy jego zdjęcie do działu „Wyszedł i nie wrócił”.

- Świetnie... Mariolka, czy mogłabyś zadzwonić do prosektorium? Jeśli nie dobrali się jeszcze do naszego

„spławi-ka”, to niech zrobią mu zdjęcie. I też daj szybko do gazety. Niech napiszą, że szukamy kontaktu z rodziną tego NN.

- Wiesz, Luiza zazwyczaj nie odkłada roboty. Możliwe, że już go...

- To niech mu owinie głowę ręcznikiem. I niech go trochę podmałuje... do cholery, chyba umie to robić!

- Pewnie tak. Nie chcesz do niej sama zadzwonić?

- Jeszcze mnie nie przestało mdlić od rana. Mariola się roześmiała.

- Coś jeszcze?

- Powiedz naszej pani doktor, że czekam na raport.

I zapytaj dlaczego dotyka martwych bez rękawiczek, pomyślała.

W pokoju unosił się zapach mokrej ziemi. Przyjemny dla wielu, tylko nie dla gliniarzy, którzy zbyt często o poranku musieli się w niej grzebać. Paprotka na parapecie wyglądała jakby nabrała rumieńców. Oprócz podlania kwiatów Mario-la zmyła jeszcze koła z kawy, jakie kubek zastawił na laminacie biurka i przyniosła pocztę.

Jedna z kopert była podejrzenie wypchana. Anna przebiegła po niej palcami. Do jej domowej skrzynki trafiały niekiedy listy z metalową plombą. „Korespondencję dostarcza In Post”. Obciążając w ten sposób przesyłkę firma obchodziła monopol Poczty Polskiej na dostarczanie kopert do pięćdziesięciu gramów... Tylko, że tym razem Anna miała do czynienia z czymś innym. Z aluminiowym widelecem.

- Co to jest? - zadzwoniła z wewnętrznego do Marioli.

— „Operacja Widelec” — usłyszała — chcemy podwyżek.

Chłopcy na forum ogłosili zbiórkę widelców. Komenda przetopi sztucce, sprzeda surowiec wtórny i w ten sposób uzyska trochę kasy na podwyżki.

Annę zamurowało na kilka sekund.

- Mogłabyś odesłać ten... ten widelec do Komendy Głównej? - Ciekawe ile wyda na znaczki... -

Czy my mamy w bi-bliotece coś na temat samobójstw?

— Nic nie rób. Już biegnę po ten widelec!

Dlaczego... Dlaczego ktokolwiek pragnie umrzeć - zastanawiała się Anna obracając w palcach sztuciec. - Przecież to...

To jest niedorzeczne

Kilka osób na komendzie uważało Mariolkę za idiotkę. Jej było z tym wygodnie. Zyskała ksywkę MoneyPENNY (w końcu wszyscy z „nowych” w równym stopniu wychowywali się na serialu 07 zgłoś się, co na przygodach Jamesa Bonda). W samie niewiele wiedziano o sekretarce Pietrzaka, jednak ona w skrytości ducha i cichości serca sporo wiedziała o prawie wszystkich. Sama zaś okrywała się za parawanem plotkarskich magazynów. To ona jednak zainicjowała powstanie na komendzie skromnej biblioteki

- skromnej choć rzeczowej - i kiedy tylko mogła, naciągała szefa na nowe książki. Zakupy robiła głównie w Internecie i w sieci kierowała się śledczym konkretem, a nie plotką z

„Pudelka”.

Podawała Annie książkę o samobójstwach. Okładka była w kolorze przypominającym pogrzebową stułę. Już po pobieżnej lekturze leżący przed Anną aluminiowy widelec nie wyglądał tak niewinnie.

Przeczytała o pewnej Polce, która, aby się zabić, połknęła

„cztery łyżki, trzy noże, dziewiętnaście monet, dwadzieścia gwoździ, siedem zawiasów okiennych, mosiężny krucyfiks, sto jeden szpilek, kamień, trzy kawałki szkła i dwa paciorki różańca

O Paryżance, która obłożyła się setką pijawek. Mężczyznach, którzy wieszali się na sercu dzwonu w wiejskich kościołach, przebijali się okularami, wskakiwali do zagrody z niedźwiedziami w paryskim Jardin du Roi.

O tych wszystkich, którzy skoczyli z Golden Gate Bridge.

Prawie żaden z nich się nie utopił. Lustro wody dzieli od mostu osiemdziesiąt metrów, uderzasz ciałem o taflę a twoje narządy wewnętrzne rozpadają się na wszystkie strony...

„Twoje”. Anna intensywnie próbowała sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek stojąc na balkonie, wiadukcie, moście słyszała syreni śpiew myślącego zwierzęcia, który kusił:

„Skocz”. Wystarczy jeden krok pod rozpedzony samochód.

Dlaczego? „Bo noc szybko nadchodzi”.

Dlaczego? Przeczytała, że w Stanach przeprowadza się

„autopsje psychologiczne”, które mają na celu ustalić ogólny schemat „suicydalnej ideacji”, czyli myśli samobójczych. To również w USA desperaci wymyślili coś od czego Annie zrobiło się nieprzyjemnie gorąco:

„Samobójstwo przy użyciu gliniarza”. Według „New York Times” zabawa w śmierć pochłania dziesięć procent ogółu zabitych w strzelaninach.

O samobójstwie myślą dorośli, młodzież, dzieci. Jak wszystkie naczelne mają fatalny nawyk naśladowania siebie nawzajem. „Golden Gate aż doprasza się, aby z niego skoczyć”.

Samobójstwo to - według Światowej Organizacji Zdrowia -

„akt samobójczy ze skutkiem śmiertelnym”. Cóż, powinna ująć ją ta lapidarność.

„Jak jestem niezadowolony albo zły, to chcę sobie zrobić krzywdę. Walę głową albo pięścią w ścianę. Nie chce mi się żyć. Często myślę o tym, jak się zabić. Myślę, że pojedę do Francji i dam się ściąć na gilotynie. To byłoby szybkie i bezbolesne. Pistoletem albo nożem bardzo by bolało. Raz włożyłem głowę do zlewu z wodą, ale się przestraszyłem.

Przyszła babcia. Powiedziałem jej, że myłem buzię. Mama była w szoku, jak o tym usłyszała. Zaczęła płakać. Ciągłe się martwi i zawsze wydaje się smutna” - oto zwierzenia dziesięciolatka.

Anna Hwierut długo jeszcze siedziała zamyślona, trzymając na kolanach Noc szybko nadchodzi autorstwa Kay Red-field Jamison. W końcu bardzo ostrożnie, jakby trzymała co najmniej odbezpieczony granat, włożyła książkę do dolnej szuflady biurka.

Pojechała do szpitala w którym leżała Patrycja Wilk. Imię Patrycja nie pasowało do tej zniszczonej życiem kobiety, ale w ogóle mało rzeczy pasowało do zniszczonych życiem kobiet.

Czy tamten starzec rzeczywiście się zabił? Czy Tomek Wilk naprawdę chciał popełnić samobójstwo? Myśl hasały jej po głowie, kiedy manipulowała przy automacie z higienicznymi kapciami.

Nienawidziła szpitali. Szpital zabrał jej matkę. W szpitalu zawsze była ukryta kostnica. Szpitala bał się każdy rozsądny policjant...

Pod zapachem lizolu czaiła się śmierć. Z drugiej strony, to właśnie tutaj życie nie dawało tak łatwo za wygraną. Matka nigdy, nawet kiedy podłączono ją do pompy morfinowej, nie mówiła o umieraniu. O śmierci na życzenie, eutanazji, samobójstwie nie mówił nikt. Lekarze zapytali ojca (mała Anna była przy tym), czy życzy sobie, aby podejmowali próbę reanimacji jego żony, kiedy przyjdzie najgorsze. Co za pytanie?! Jasne, że chce! A czego chciała Anna? Matka przestała już gorączkować, przestała bredzić. Coraz dłużej spała. Kiedy wracała jej świadomość, chciała do

domu. I snuła plany na przyszłość, zapominając, że przyszłość ją zignorowała. Anna chciała matką potrząsnąć. Ty umierasz!

Ale matka swojej śmierci nie przyjęła, ona pozostawiła ją do I rozpamiętywania rodzinie.

Oto pokój Patrycji Wilk. Zwyczajna szpitalna sala (to nie był oddział intensywnej terapii), jedno łóżko puste, drugie zasunięte parawanem. Ona umiera. Nic nie mogę zrobić.

Anna spodziewała się, że spotka tu pana Wilka, ale go nie było. Zza parawanu wychynęła kobieca postać, ładząco podobna do pani Wilk. Tylko młodsza, mniej zniszczona.

- Dzień dobry, jestem z policji.

- Jestem jej siostrą.

Żadna nie spytała co z Patrycją i żadna nie musiała odpowiadać. Anna wierzyła, że ludzie w komie i tak wszystko słyszą...

- Wiadomo coś o Tomku?

- Będziemy go szukać. Wszędzie. Dziennikarze nam pomogą. Chciałam porozmawiać z jego ojcem. Myślałam, że tu będzie.

- On nie ruszy się z Otwocka.

- Nawet teraz?

- Przede wszystkim teraz... Kiedyś już stracili dziecko.

Starszą siostrę Tomka. Urodziła się zbyt wcześnie.

- Tomek wie? Wzruszenie ramion,

- Musieli... Muszą bardzo go kochać.

- O tak - kobieta wykrzywiła usta. - To ja muszę przynieść jej jakąś bieliznę. Swoją, bo tam nie pojedę... Nie chcę go widzieć.

- Przepraszam, kogo?

- Jego ojca. On go bił. Bił ich oboje. Chłopak zrobił najlepszą rzecz dla siebie, że uciekł.

- Patrycja mówiła, że jego dziewczyna uciekła do Anglii.

- Kasia? Za chlebem wyjechała. Żadna ucieczka. Zresztą, jeśli to ważne, niech pani zadzwoni do mojego szwagra.

Chce pani zapisać numer?

Weszła pielęgniarka z pustym workiem do cewnika.

- Poproszę. I pani telefon też - powiedziała Anna.

- Tomek nie popełniłby samobójstwa. Wiedział, że to za-brje jego matkę.

Anna pokiwała głową. A jeśli Tomek chciał, aby Patrycja umarła?

Później pielęgniarka wyprosiła ją z pokoju.

W domu powitała ją wieczorna cisza i zapach odświeża-cza powietrza - sztucznej choinki. Kiedy Kuba był w domu, często marzyła, aby ściszył muzykę, nie przypalał

popcornu, nie szurał kapciami. Nie naprzykrzał jej się zadaniami z matematyki. Choć była dobrą matką, to czasem pragnęła, aby jej syn zniknął... A teraz tęskniła.

Otworzyła okno i puściła płytę Amy Winehouse. Policjantka słuchająca ćpunka. Ha, a dlaczego nie? Jak to powiedziała sama Amy: „Staram się wszystkich zadowolić, a wtedy kumuluje się we mnie frustracja”. Tym razem Anna wolała nie nazywać rzeczy po imieniu. Jestem rozdrażniona, bo będę miała okres.

Amy i Anna miały toksycznych tatusiów. Tatusiów, którzy kochali je ponad wszystko.

Anna wykręciła numer ojca. Nie od razu odebrał. Nie-cierpliwiła się. _

- Wszystko w porządku? - spytała, słysząc jego chropowate od papierosów „halo”.

- No. A u ciebie?

- Też. Daj mi Kubę. - Kciukiem rozcierała bolącą skroń. I znowu „zbyt długo” czekała.

- Mama - Kuba był ożywiony. Uśmiechnęła się, nie wiedząc wcale, że to robi.

- A jakiej dziewczyny się spodziewałeś? - Ojej!

- Wszystko gra? A dziadek? Dobrze ci tam? Oczywiście, że mu dobrze. Dziadek kupił nowy komputer wmawiając każdemu, kto zgodził się słuchać, że chce nauczyć się obsługi kilku programów. Bo przecież nie chodziło o to, by z odwiedzającym go wnukiem oglądać DVD czy grać przez pół dnia w Sudden Strike.

- Mamo, muszę kończyć. Dziadek przyniósł jakiś film...

- Rozumiem, musimy kończyć. - Stary zazdrośnik. Boże, jak oni rywalizują o to dziecko. - A co to za...

- Jakiś kryminał. Mamo, ja naprawdę...

- Tylko nie siedźcie do rana. Słyszysz?

Cóż chłopcy się bawią. A dziewczynki? Amy śpiewała Love Is A Losing Game. Anna w odruchu nieświadomego buntu postanowiła nie myć zębów. Walnęła się na łóżko, aż zajęczał materac. A później jej dłoń powędrowała w dół, za gumkę od piżamy.

Anna próbowała sobie wyobrazić, że te palce należą do kogoś innego niż ona sama.

6.

Rano raportu z patologii nie było. W czymś co mogło być

„odruchem dobrego serca" Anna jeszcze raz przeszukała biurko. Papiery wysypywały się z teczek i leżały w niereglarnych hałdach. Kiedy była dużo młodsza, kiedy była uczennicą (dawne dzieje) nigdy nie pozwoliłaby sobie na taki bałagan... Dziś wiedziała, że porządek na biurku nie zmieni tego co najbardziej pragnęła zmienić. Zajrzała pod blat. Nim zdołała się na dobre zirytować, zadzwonił telefon.

- Chyba powinnaś tutaj przyjechać - powiedziała trochę niewyraźnie Luiza. Anna słyszała, jak tamta coś przełyka.

Pewnie kawa i ciastko. O patologach „restaurujących" się we własnych kostnicach po wszystkich chyba komendach krążyły niewybredne dowcipy.

- Nie dostałam raportu.

- Nie dostałaś. I dlatego raportuję, że powinnaś przyjechać.

Anna pomyślała, że jednak zrobi na tym biurku porządek.

A później Mariolka wręczy jej świadectwo z czerwonym paskiem.

- Dobra, zaraz u ciebie będę.

- Jedziesz do niego. Do tego dziadka - siorbnięcie kryjące uśmiech.

- Smacznego.

- Dziękuję.

Anna sięgnęła po kurtkę przerzuconą przez oparcie krzesła.

Budynek kostnicy. Zwykły beton, podobny trochę do gmachu na Umińskiego, gdzie mieścił się dość sławny „do-

łek". Tylko, że z „dołka" się wychodziło, a stąd nie.

Pomyślała o innych miastach. O kostnicach w dziewiętnastowiecznych pruskich kamienicach. O łódzkim Muzeum Człowieka, które leżało tuż obok Teatru Wielkiego, zrecznie kamuflując w swojej nazwie marmurowe wanny pełne konserwując cego roztworu i ich zawartość. Pomyślała o prokuratorskim prosektorium na łódzkich Bałutach. O mężczyznach, którzy właśnie tam byli kierowani na badanie o ustalenie ojcostwa. I o dzieciach w wózkach, zapłakanych, którym szare na twarzach matki albo matki o grymasach pełnych satysfakcji przyciskały ubrudzone plamką krwi waciki do zsiniałych piąstek.

Pomyślała o innym rodzaju zsinień. I o kolonii nietoperzy, które jak dekoracje z kiepskiego horroru, gnieździły się na strychu. W piwnicy - śmierć, na strychu - życie. Kiedyś ojciec przyniósł do domu w pudełku po butach nietoperza poturbowanego przez psa. Nietoperz ozdrowiał, uciekł i schronił się gdzieś w mieszkaniu. Trzy nieprzespane noce, noce z szeroko otwartymi oknami, które miały zachęcić gościa do opuszczenia gościny... Muszki podlatujące do zapalonych lamp. Lato. Tamto lato. Ojciec wyznał, że boi się nietoperzy od lat, odkąd nietoperz wkręcił mu się we włosy, kiedy był chłopcem.

- Zdajesz sobie sprawę, że to nie ten nietoperz? Po co w ogóle go brałeś?

- Nie chciałam, żeby tak zdechł w trawie.

Już wtedy znała (choć może słowo „znała" w kontekście martwej ofiary jest lekką przesadą) takich, którzy w ostat-nich chwilach marzyli, żeby zgasnąć z twarzą ukrytą w trawie. W końcu sama odnalazła nietoperza, zawieszzonego w cieniu zimnego kaloryfera. Wpakowała go do pudła. Ojciec orzekł, że zwierzątko udowodniło swoją dobrą kondycję i w kartonie odniósł je do nietoperzej

kolonii, do prosektorium. Alleluja.

Nie pukając Anna próbowała wejść do jej gabinetu, ale biuro Luizy było zamknięte. Z niechęcią więc popatrzyła na wahadłowe, stalowe drzwi, które prowadziły w głąb

„Królestwa Cieni”. Luiza jako Persefona albo Królowa Pająków... Z drugiej strony może jej podejście do sprawy było nie tylko rozsądniejsze, ale bardziej... bardziej ludzkie. W końcu co się rodzi to i umiera. Sto procent.

Anna huknęła biodrem i znalazła się w środku.

- Od kiedy wchodzisz jak John Wayne - zagadnęła Luiza i zapraszającym gestem wskazała następne drzwi, nie tylko szczelnie zamknięte, ale i oklejone wzdłuż futryny gumą.

- Od kiedy nie piszesz dla mnie raportów?

- Nie nudź - Luiza wyjęła z kieszeni fartucha chirurgiczne rękawiczki i z niesmakiem naciągnęła je na dłonie.

Przeszły pomiędzy szpalerem zakrytych prześcieradłami wózków. Dalej był blat do balsamowania i stoły sekcyjne...

- Jezu - zachnęła się Anna. Tamta przekręciła głowę jak ptak.

- Wybacz, nie zdążyłam go jeszcze zamknąć... - Zwłoki starca leżały na blacie. Jedna z dłoni wsunęła się w rynienkę. Żebra były rozwarte. Mostek przepiłowany. Wewnątrz pustka. Luiza wskazała na masę leżącą na chirurgicznej wadze. Płuca.

- Nasz NN. No bo nadal nie wiesz kogo tu mamy? Dużo palił.

Anna poczuła wielką chęć, aby też zapalić. Zastanawiała się mimochodem, jak pomocnikom patologa udało się zlikwidować woń wodorostów.

- On nie utonął. - Co?

Luiza pokręciła głową.

- Wiesz przecież, jak wyglądają płuca topielca.

- Krwawe wybroczyny? Płuca wzdęte, zakończone nieostro? - Zdała egzamin czy nie?

- Z grubsza tak... Widzisz coś takiego?

Nie widziała. Nie było też żadnej piany ze śluzu żołądkowo-wego i powietrza - przypomniała sobie więcej szczegółów ze szkolenia.

- Więc?

- Przyduszenie glomus caroticum.

- Możesz jaśniej? Nie mam czasu.

- Ktoś mu przydusił szyję. Przedramieniem albo dłonią. Z

przodu, tam gdzie są nerwy. Vagus, dziesiąty nerw mózgowy został sparaliżowany, a śmierć nastąpiła odruchowo.

I łagodnie.

- Łagodny morderca?

- Albo morderca, który lubi ciszę. I kultywuje idealny porządek.

Anna pomyślała o swoim biurku.

- I jakkolwiek to zabrzmiało, ten gość był odwodniony. Długo chorował. Miał początki odleżyn na piętach i na potylicy.

- Oznaki walki? - Nic

- Nie mógł tego zrobić sam?

Luiza spojrzała na nią z pewnym politowaniem:

- Nawet samobójcy walczą ze śmiercią, kiedy ją w końcu zobaczą.

- Luiza, muszę mieć dzisiaj ten raport.

Patolog odprowadziła ją pod drzwi gabinetu.

- Zaczekaj. - Otworzyła drzwi i weszła do środka. Po chwili wróciła z plikiem polaroidowych zdjęć. - Jego twarz.

Chciałaś mieć do gazetowej identyfikacji.

- Dzięki... Odezwę się.

- Nie wątpię.

Świeże powietrze i papieros...

Schowała zdjęcia w luźny rękaw niczym zakonnica w habit i poszła do kiosku po gazetę. Rozłożyła ją na desce rozdzielczej swojego uno. Patrzyła na nią pobrudzona drukar-skim pyłem twarz Tomka Wilka.

Rzuciła gazetę na fotel obok, przekręciła kluczyk w stacyjce i pojechała tam, gdzie ją goniło.

- O, pani z policji - powitała ją w szpitalnym pokoju siostra Patrycji Wilk. Była zdenerwowana, prawdopodobnie wyglądem pacjentki, której twarz ledwo odcinała się od bieli prześcieradła. Parawan zastawiał umywalkę, do której ktoś wymiotował.

- W dzisiejszej gazecie jest zdjęcie Tomka... Szukamy...

Kobieta machnęła ręką.

- Ona umiera. Może jeszcze mąż ja zobaczy. Obiecał, że przyjedzie. Rychło w czas!

Ktoś odkręcił i zakręcił wodę. I jeszcze raz. Zza parawanu wyszła dziewczyna. Kasztanową grzywkę zlepił pot.

- To Kasia, dziewczyna Tomka... Anna kiwnęła głową w geście powitania. - Cóż, słyszałam, że jest pani w Anglii?

Młoda kobieta wzruszyła ramionami.

- Byłam, ale wróciłam.

- Dawno?

- Dwa tygodnie temu. Anna zmarszczyła lekko czoło.

- Proszę wyjść ze mną na korytarz - poprosiła dość stanowczo.

Opuściły salę.

- Tomasz wiedział, że pani wróciła? - Nie.

- Więc nie skontaktował się z panią?

- Nie wiedział, że jestem w Polsce. - Dziewczyna opadła na jedno ze staroświeckich krzeseł stojących w niewielkiej okiennej wnęce. Anna dobrze wiedziała, jakie te sprzęty potrafią być niewygodne. - I nie jest moim chłopakiem.

Zerwałam z nim.

- Jednak pani tu przyszła...

- Polubiłam jego mamę. Zadzwoiłam przypadkowo i dowiedziałam się o tym... - Zrobiła nieokreślony ruch ręką.

Palce pełne srebrnych pierścionków były napuchnięte i blade. Annie zakiełkowała pewna myśl.

- A do Anglii... Tomek dzwonił?

- Nie odbierałam telefonów.

- Przejęła się pani jego mamą czy nim?

- Tomek nigdy nie popełniłby samobójstwa!

- Jest pani pewna?

- Wierzył w niebo. I w piekło.

- Przyzwoity facet.

Dziewczyna znowu wzruszyła ramionami.

- Moi rodzice też nie wiedzą, że wróciłam. Zatrzymałam się u koleżanek.

- A wiedzą o ciąży?

Kasia wykrzywiła wargi w niezbyt radosnym uśmiechu.

- A co, już widać?

- Jeśli się wie, jak patrzeć.

- Bystra pani jest I z policji. Więc pani pewnie domyśla się też, że to nie jest dziecko Tomka.

- Jesteś absolutnie pewna?

- Nie mógł tego zrobić. W ogóle nawet nie lubił rozmawiać o seksie. - Odsunęła rękaw pokazując

nierówną, białawą bliznę, - O, to mi zrobił. Stłuczonym szkłem.

- Jednak to do niego zadzwoniłaś, prawda? Nie do jego matki

- Nie miałam do kogo. Pani pewnie nie zna tego uczucia?

- Nie, nie znam. - Zastanawiała się, dlaczego nie czuje do tej dziewczyny sympatii. - Ale przecież

Tomasz Wilk coś lubił robić? Czymś się interesował?

- Lubił tańczyć. I to akurat mu wychodziło.

7.

Ich sylwetki odbijały się w szybie komendy. Wojtek Szelig przysiadł na brzegu biurka Anny.

- To mamy morderstwo - stwierdził z westchnieniem.

Mariola znowu kręciła się wokół z zieloną konewką i pod-lewała.

- Nie powinnaś być już w domu? - zapytała Anna sekretarkę i natychmiast pożałowała swoich słów. Po co była taka... Oschła? Okrutna? Tak, morderstwo, nigdy się do nich

nie przyzwyczai. Tylko czy ta świadomość czyniła z niej lepszego czy gorszego policjanta?

Sięgnęła po gazetę i plik po-laroidowych zdjęć.

- Jadę na Centralny.

- Zabiorę się z tobą - zdecydował Wojtek.

- To nie nasz rewir. Wystarczy, że ja już tam się pokręcę.

- No to cię tam odwiozę. - Nie miała ochoty się kłócić.

Przypomniała jej się wczorajsza noc.

- A co później?

- Później? Podrzucę cię do domu.

Łamiąc przepisy wyskoczyła pod wiaduktem, a Szelig pojechał szukać kawałka wolnego miejsca do zaparkowania.

Odkąd otworzono Złote Tarasy ta część miasta była zakorkowana bardziej niż zwykle. Z początku Anna, dziecko ko-muny, uwielbiała te wielkie centra handlowe, później na ich widok chciało się jej już tylko wymiotować. Zawsze mamy za dużo albo za mało. Wchodząc w dworcowe podziemia, w których mocz mieszał się z zapachem

„tureckiego” keba-bu, pomyślała o tych, którzy nie mają nic. „Bezdomny z wyboru” - dopiero w szkole policyjnej dowiedziała się, że jest i taka kategoria.

Niewiele czasu zajęło jej odszukanie znajomej street-wor-kerki.

- Siostro Angelo!

Pulchna zakonnica w dwuogniskowych okularach odwróciła się w kierunku głosu, skupiła spojrzenie na Annie i uśmiechnęła się do niej.

Siostry: Angela, Teresa, Katarzyna, Annuncjata. Anioły uszyte na współczesną miarę. Zaczepiały prostytutki, dawały im ulotki z adresami domów, gdzie dziewczęta mogły znaleźć pomoc, jeśli chciałyby skończyć z pracą na ulicy.

Przypominały o tym, że nie wszystkie pieniądze należy od razu wydać, można założyć lokatę, ubezpieczyć się.

Problem w tym, że czasem i lokaty, i ubezpieczenia przejmował brutalny alfons. Czasami - mąż. Kiedyś prostytutka z dumą pokazała jej SMS od swojego chłopaka: „Tylko nie zmarznij,

kochanie”. Warto tak pracować, żeby ktoś cię kochał? Jak w wahadłowym ruchu ciągnęło ją raz do moralizatorstwa, raz do pragmatyzmu. Kolejna policyjna schiza.

Siostry oczywiście nie rozdawały prezerwatyw i Anna ostro pokłóciła się kiedyś o taką krótkowzroczność. Wbrew pozorom nie chodziło jej o HIV, tylko o ciężę pracujących dziewczyn. Zakonnice namawiały, aby prostytutki oddawały dzieci do adopcji. Anna odnosiła się do tego problemu bardzo subiektywnie... Sama była w ciąży, która ją przerosła, przewartościowała życie i doprowadziła do miejsca w którym jest, chociaż plany (Bóg się śmieje, kiedy człowiek planuje) były inne. Z drugiej strony oddać Kubę do adopcji? Nigdy... Komórki płodu do samej śmierci będą kryć się w jej krwi. Kuba nigdy jej nie opuści.

- Co słytać? - spytała zakonnicę odpoczywającą właśnie na peronowej ławce. Choć krótkowzroczna, siostra Ange-la miała zmysły wyostrzone na odgłosy podziemnego światła niczym myśliwski ogar.

- Świat się toczy.

- To może jeszcze trochę potrwać.

- Dałby Bóg - roześmiała się.

Anna pokazała jej gazetę z fotografią Wojtka.

- Widziała go siostra?

- Nie. Jeszcze nie - poprawiła się. - Zwiął z domu? Jak już nie będzie miał pieniędzy, to go tu spotkam.

- Oby. Ma problemy.

- Będę miała oczy otwarte. A co u ciebie?

- Bosaki i Wisła.

- Chyba nie tylko?

Anna starała się uniknąć odpowiedzi co nie było zbyt trudne - siostra Angela zdecydowanie błądziła myślami gdzieś indziej.

- Jedną z dworcówek zgwałcono i pobito. To był jej stały klient. Policjant.

- O cholera. Złoży doniesienie?

- Nie. Użył...pistoletu.

- Mogę z nią porozmawiać?

- Oczywiście że nie - stwierdziła kategorycznie siostra.

Anna kiwnęła głową.

- Jest jeszcze coś... - Podała zakonnicę polaroidowe zdjęcie.

- Ten mężczyzna nie żyje? - Siostra przeżegnała się.

- Myśleliśmy, że popełnił samobójstwo. Ale patolog twierdzi, że ktoś mu pomógł. W naszych aktach figuruje jako NN. Miał wiele ubrań na sobie, był wycieńczony.

Myśleliśmy, że może to kloszard. Tyle, że miał bardzo porządne buty. Czy raczej jeden but.

- Wygodne buty to podstawa. Dla kloszarda też.

- Były drogie. „Profesorskie” - przyszło jej na myśl określenie Luizy.

- Mamy tu i profesorów. Jeden taki jeździ na wózku.

- Profesor do profesora?

- Bo ja wiem? Jak ci to pomoże, znajdziesz go w górnym holu. Ale uważaj, cierpi na Korsakowa.

To głęboki alkoholik

- Mózg jak sito. A dusza...

- Jak zawsze wąpiąca, co? Przyjdź do naszego domu. Na kawę i na rozmowę.

- Jak tylko znajdę czas.

- Wiesz co powiedział ten policjant gwałciciel do dziewczyny?

Anna była pewna, że nie chce tego usłyszeć.

- „Takie jak wy to należałoby wywieźć do lasu i wystrze-lać.”

W głównym holu można było zauważyć zbliżający się okres ferii. Zmęczone kobiety, zmęczone matki okupowały nieliczne czynne kasy. Drepczą - ciężar ciała z palców na pięty i z powrotem - jak w niegdysiejszych kolejkach po watę. Kiedyś o tej porze kobieta na dworcu była rodzyńkiem albo... Anna wiedziała o tym. Jako nastolatka pojechała z koleżanką do „Stodoły” na festiwal rocka progresywnego. Koleżanka знаła jednego z liderów zespołu, myślała, że wkręci je na imprezę,

później...

stchórzyła. W rezultacie spóźniły się na ostatni pociąg do Łodzi. Wtulone w siebie - bo zimno - krążyły po peronach.

Zatrzymał je patrol i spisał. Koleżanka nie wybaczyła tego Annie aż do matury. „To wszystko przez to, że tak mocno się malujesz”. A istotnie Anna malowała się wtedy.

Wróciły do domu, gdzie Anna z dużą satysfakcją opowiedziała ojcu o dworcowej przygodzie. Pochwaliła się. I nie było istotne, jak zareagował, choć możliwe, że nie zareagował w ogóle.

Anna rozglądała się szukając Profesora. I w końcu znalazła. Przy bocznych schodach, które Bóg wie gdzie prowadziły (mieszkać w Warszawie i nie wiedzieć!) pochylał się nad kimś bardzo młody posterunkowy, groźnie perorując. Podeszła szybko i stuknęła policjanta w ramię.

- Ja się tym zajmę - pokazała odznakę.

Policjant obejrzał sobie Annę od góry do dołu. Zapisać mu to na korzyść? Podobno niektórzy mężczyźni lustrują kobiety od dołu wzwyż. A jeszcze inni... panoramują. W

końcu wzruszył ramionami, burknął „powodzenia” i poszedł.

Anna była zainteresowana butami Profesora, ale nogi i część wózka inwalidzkiego przykrywał zaplamiony, bury koc. Dziadek ślinił się i trząsał. Nie wyglądał na pijanego, ale do pospolitej trzeźwości też mu było daleko.

- Podobno jesteś wykształcony. Cisza.

— Profesorze? Nic.

— Profesorku?

Poruszył się, a później z jego ust popłynęły jak strumień:

- Dania - Kopenhaga, Węgry - Budapeszt, Luxemburg -

Luxemburg, Malta - Valletto, Hiszpania - Madryt, Brazylia

- Brasylia, Iran - Teheran, Zjednoczone Emiraty Arabskie

- Abu Zabi, Kongo...

Nie ma już Kongo, teraz jest Zair, uświadomiła sobie Anna. Ten facet jest zamknięty w starym alkoholowym czasie jak w bańce. Biedna stara foka, stojąca w ogniu po... denaturat? Wodę brzożową?

- A stolica Estonii? Litwy? Łotwy? Patrzył tępo.

- Talin, Wilno, Ryga - wyszeptała. Poczowała niesmak: do siebie, a nie do tej ludzkiej ruiny. Zatarła rękę, jakby chciała coś z nich zetrzeć i zostawiła go w jego własnym świecie.

8.

- Zatrzymajmy się przed stacją benzynową - poprosiła Szeliga.

- Drobne zakupy?

- Aha - mruknęła w odpowiedzi.

Kiedy krążyła pomiędzy skromnymi półkami, szedł za nią krok w krok. Musiała się długo zastanawiać, czyjej się to podoba czy nie? A nie miała czasu. Stacja benzynowa, typowy paśnik (i wodopój) dla zapracowanych i samotnych. Alkohole, papierosy, słodyczne, szybkie zupki, papier toaletowy, tampony... Kontrolowała się ze względu na Szeliga, świadomie omijając lodówkę z piwem.

- Red Bull doda ci skrzydeł - burknął.

- Co?

Wrzuciła do koszyczka chrupkie pieczywo, a później stanęła przed paczkowanymi wędlinami: „Kiełbasa ze strusia”, przeczytała na opakowaniu. Nie, nawet ona nie włoży tego do ust. Zdecyduje się na coś bardziej tradycyjnego. Hm, boczek...

- Kuby nie ma w domu? - Wojtek doskonale znał jej domowe, mięsno-wegetariańskie układy.

- Jest u dziadka. Musztarda!

Kasjerka wstukała ceny i Anna podała jej kartę kredytową.

Wstukała PIN.

- Przepraszam, odrzucona.

Anna poczuła, że się czerwieni. Cholera, to właśnie jest czarny scenariusz.

- Proszę spróbować jeszcze raz.

Kasjerka uśmiechnęła się wyrozumiale i ponowiła próbę.

- Niestety, transakcja odrzucona.

Anna pomyślała, że za chwilę zapadnie się pod ziemię.

Resztki drobnych pozbyła się w dworcowym automacie ka-wowym.

- Dziękuję i przepraszam. To znaczy rezygnuję. Gdyby ktoś stał za nią, to przecież by... umarła.

Wstyd to dziwna rzecz - wciąż tak potężnie potrafiła go odczuwać.

- Ja zapłacę - usłyszała głos Szeliga.

Odeszła na bok, zeszła z drogi. Cholera, cholera, cholera.

Działać, robić coś. Wyciągnęła komórkę i zadzwoniła na infolinię banku. Odebrała zaspana, niezadowolona panienka. Jeszcze bardziej rozeźlona, kiedy Anna Hwierut przeszła weryfikację tożsamości.

- Nie dostała pani informacji z banku?

- Nie - powiedziała Anna. Oczywiście na ekranie nokia świeciła ikona koperty. Świeciła jak zawsze, bo Anna nie odbierała SMS-ów. Nie umiała. W zasadzie uparła się, że nie może się nawet nauczyć. Chciała zagrać technice na nosie a teraz Szelig płacił za jej boczek.

- Pani karta została prawdopodobnie zeskanowana.

- Okradziono mnie?! - Nie mogła w to uwierzyć.

- Nie. Ale tej karty nie może pani używać. W przeciągu dwóch tygodni prześlemy nową. Chyba, że pofatyguje się pani do banku.

„Pofatyguje się”. Tymczasem Szelig przyglądał się jej cie-kawie, trzymając pod pachą zakupy. Żadnych reklamówek.

Facetom to się udaje: musztarda w kieszeń, boczek w rękaw, chleb przyciśnięty do boku.

Zonglerzy.

rafa mu, że już kończy, więc poszedł do samochodu. Jasne.

Jaki to komunikat wyszedł z Komendy Głównej Policji?

„Sprawdź, czy do bankomatu nie są przyłączone żadne podejrzone elementy. Kiedy wprowadzasz PIN, zasłoń drugą ręką klawiaturę, by nie nagrała jej kamera gangu”.

Zamknij oczy, Anno.

Późny wieczór. Małżeństwa układają się teraz koło siebie, nawet nie domyślając się jakie mają szczęście. Czuć męską rękę na piersi, stykać się biodrem, splatać palce.

Zatrzymali się przed domem Anny.

- Wejdiesz? - zapytała wprost.

- Na szklankę wody?

- A co, marzy ci się staroświecka randka?

- A tobie?

- Nie mam czasu. Praca...

- Zupełnie tak samo jak ja. Przyciągnęła jego głowę do siebie.

„Przyjaciół do łóżka” - czyż nie taki trend opisują kolorowe miesięczniki dla kobiet? O tak, Anna chciała być trendy.

Kłopot w tym, że nie była pewna, czy Wojtek Szelig jest jej przyjacielem.

Pieprz mnie, Szelig - powiedziała to? Czy chciała powiedzieć? Właśnie tak, nie inaczej. Nie widziała w tym nic zdrożnego. Pomimo kiepskich pierwszych doświadczeń lubiła seks. Ani cnotliwa, ani wyuzdana. Kobieta. Kobieta, która potrafi odróżnić seks od miłości. A chciała seksu. Bez zbędnych ceregieli, uścisków, pocałunków. Zaczęli rozpinąć ubrania w półmroku, w ciasnym przedpokoju.

- Chcę cię widzieć... - Szelig odnalazł przełącznik światła.

To było ryzykowne. Otworzyć oczy i zobaczyć nad sobą twarz policyjnego partnera. Odrzuciła w bok spodnie, za nimi poleciała kabura, szew trzasnął w biustonoszu.

Zadarła koszulkę obnażając piersi i czując zapach talku zacisnęła na niej zęby.

Szelig jedną ręką pieścił sutki kobiety, drugą mocował się z celofanem prezerwatywy. Kupił na stacji czy zawsze nosił

ze sobą? A czy to ważne?

Odwróciła się doń plecami, oparła rękę o ścianę i wypinając pośladki czekała, aż ją wypełni.

Rano nie powiedzieli do siebie ani słowa. Za to spóźnili się na odprawę. Nikt nie skomentował, że przyjechali i weszli razem. Niektóre rzeczy lepiej jest robić we dwójkę.

Pietrzak stał na środku sali, tuż pod tablicą, jakby żywcem zarekwirowaną z jakiejś szkoły. Wyglądał jak niegrzeczny uczeń. Czerwony na twarzy, drżenie ciała próbował zama-skować grzebaniem po kieszeniach i przerzucaniem kluczy. Spłoszona Mariola skuliła się na krześle w odległym kącie. Reszta też nie była w nastroju. Co u licha się działo?

- Wiecie już? - ktoś szepnął.

- Co mamy wiedzieć? - Anna żałowała, że przed wyjściem nie tylko nie wzięła prysznic, ale nie włączyła radia.

Pachnieć seksem to jedno, przeniknąć zapachem strachu to zupełnie coś innego.

- Zacznę od tego, że na balistyce już ustalają, jak padły strzały... Dodam też pro forma, że Wola nie jest naszym re-wirem... Tak jak Śródmieście, gdzie pracował...

- Kto? - zapytał głośno Szelig. Pietrzak mówił teraz wprost do niego.

- Policjant, który popełnił samobójstwo. Najpierw po-strzelił swoją dwunastoletnią córkę.

- Chciała go powstrzymać? W jakim jest szpitalu?

- Nie żyje.

- Jaka broń?

- Służbowy walter. Żona sprawcy ma małe dziecko z pierwszego związku. Chłopcu nic się nie stało.

Zbyt napięta sprężyna czasem pęka, pomyślała Anna Hwierut

- To znaczy, że był świadkiem.

- Właśnie to znaczy. Jest w szoku, oczywiście... Więcej na razie nie wiadomo. Tak czy inaczej to nie nasza sprawa, więc zabierajcie się do własnych. Też mamy morderstwo, jak i przypuszczenie samobójstwa, prawda? Hwierut?

Szelig?

- Ale...

Pietrzak uciszył ich gestem.

- Tamta policjantka, żona znaczy, jest w siódmym miesiącu ciąży. Jeśli ktoś chce pomóc, to pieniądze zbiera Mariola

- Co z pogrzebem?

- Nie wiem. To już jest pogrzeb - warknął Pietrzak i szybko wyszedł trzaskając drzwiami.

Szepty przeszły w głośne rozmowy. Anna zaś dużo dys-kretniej niż szef wymknęła się z sali i uciekła do siebie.

Wcisnęła się za biurko. Rzuciła polaroidy na blat. Mariola znowu podrzuciła jej na biurko jakieś kolorowe pismo.

Anna wyciągnęła dłoń i palcami pogładziła lakierowaną okładkę, okładkę z ludźmi z innego świata niż ten, w którym żyła. Nie było tak? Nie było?! Zaczęła kartkować artykuł o romansie prezydenta Sarkozy'ego i Carli Bruni.

Co innego mogła zrobić?

Później zadzwonił telefon.

- Masz wyłączoną komórkę, Anno - stwierdziła była teściowa. „Była teściowa”, „były mąż”, ale nie „była babcia”,

„były tata”.

- Jeszcze jej nie włączyłam, Krystyno. - Nigdy nie mówiły sobie inaczej niż po imieniu.

- Ale przecież jesteś w pracy. Anna cichutko westchnęła.

- Tak. Właśnie przyszłam.

- Kubuś w szkole?

- Nie.

- A gdzie?

Nie potrafiła skłamać, że jest chory. Chociaż chciała. - W

Łodzi.

- Ferie za pasem. Obiecał mi...

- Wiesz jakie są dzieci w tym wieku. Kuba koniecznie chciał pojechać do dziadka.

- Tu też ma dziadka. - Ostatnia sylaba poszybowała wy-żej do góry. - Obiecał, że przyjedzie.

- Nie wiem co ci obiecał. Myślę, że Kuba nie czuje się najlepiej...

- Rozmawialiśmy o tym. Kiedy był u nas ostatnio, nawet nie chciał oglądać zdjęć ojca!

- I vice versa - za ostro, ale stało się. - Krystyno, ja...

- Daj spokój. Wiem co tam się u was dzieje. Wy, policjanci w ogóle nie panujecie nad sobą. I co to za praca dla kobiety? Masz dla Kubu czas? Serce? Bo że masz broń, to wiem na pewno.... - trzask

słuchawki.

I vice versa. Mam to z głowy. Ale czy chcę? Mogę?

9.

Piątek wieczór. Wszyscy ludzie cool idą na imprezy, wszystkie łamagi zostają w domu - szkolna opinia publiczna. Anna stała przed betonową, ryczącą kiczem „Silver Moon” i czuła się nie na miejscu. Od tych tancerzy, jakkolwiek mądrzy się sobie wydawali, dzieliło ją morze doświadczenia. W pewien sposób ta młodzież miałaby bardziej po drodze z jej Kubą.

Ustawiała się w kolejce do wejścia. Bramkarz przypatrywał jej się odrobinę za długo, a przecież próbowała nie wyglądać na gbnę. Czego by jednak nie zrobiła, to na dwudziestolatkę też nie wyglądała,

- Dziewczyny mają dzisiaj wstęp wolny - osiłek niepamiętający stanu wojennego złapał jej rękę i na skórze postawił stempel, który pokazywał się w ultrafiolecie. -

Gdybyś chciała wyjść - rzucił tonem wyjaśnienia.

Już chcę, pomyślała. Weszła do środka i spostrzegła, że rozbawiony tłum odruchowo się przed nią rozstępuje, ale tak naprawdę jest dla dzieciaków niewidzialna. Czy właśnie tak czuje się ładna kobieta, kiedy zacznie brzydnąć? Dziewica przepoczwarzająca się w matronę?

Bez sensu; powinno obchodzić ją zło, a martwiła się metryką. Patrzyła na chłopaków i myślała: królestwo Clearasilu. Patrzyła na dziewczęta i nie wiedziała, czy powiedzieć im, że krótka spódniczka na tej szerokości geograficznej uchodzi za prowokującą dla domniemanego gwałciciela, a sędzia - choć częściej sędzina - byłaby gotowa mierzyć długość szmatki z gorliwością sługusów generała Franco, którzy buszowali z centymetrami po madryckich ulicach, kiedy Mary Quant minimalizowała wszystko na wszystkich. Cholera, jak ja sobie poradzę z Kubą...

Przygotowano podest dla zespołu: wszakże afisz obiecywał

dyskopolową muzykę na żywo, ale na razie z głośników leciała taneczna mieszanka. Okropna. Ale czy wiele gorsza od Kajagoogoo i Modern Talking, z którymi broszkę obnosiła kiedyś na plecaku? Wybaczamy i niech nam zostanie wybaczone.

Kula - oryginalna a nie niegdysiejsza piłka oklejona kawałkami lustra - to rozjaśniała, to cofając się chowała w mroku twarze tańczących.

„Lubił tańczyć. I akurat to mu wychodziło”.

W porządku, chciała być racjonalistką, ale tym razem przygnał ją tu instynkt. Usiadła na hookerze i zamówiła piwo.

- Pierwszy raz? - zapytał barman.

- Tak

- I podoba się?

- Jeszcze nie wiem.

- Zapracowana singielka? - Tak jakby.

- Tak jakby - powtórzył jak echo. Mógł być jej rówieśnikiem. Jedyni starsi goście: on i ona.

- Szukam chłopaka. Koleżanka mnie prosiła. Narobił

głupstw. Matka martwi się, że nie wróci do domu.

- Matki - barman uniósł oczy do nieba. - Dragi? - Nie.

- To co?

- A jak powiem, że seks?

- Zdrowszy od dragów. Nie, mała? - zwrócił się do chudej blondynki o prawie przezroczystej skórze na gołych ramionach i twarzy postarzonej tapetą. Spod spódniczki wystawał jej fragment czerwonej podwiązki, drobiazg przynoszący szczęście na ubiegłorocznej maturze, a teraz narzędzie

pracy. Była spłoszona, a Anna czuła, że barman wysyła do nie-zrzeszonej dziewczyny komunikaty, że jeśli tu chce zostać, to musi przejść przez jego ręce. Annę traktował jak klientkę.

- Ten chłopak. Gruby, chudy, wysoki, niski?

- A taki - pokazała mu zdjęcie Wilka. Mała też zapuściła żurawia.

- Musisz przyjść we wtorek. Wtedy będą czipendejlsi, ro-dzimi - barman udawał, że nie uważa jej za policjantkę albo kuratorkę, ona udawała, że nie trafiła na opiekuna.

Tymczasem dziewczyna zeszła z krzesła i chciała zniknąć w tłumie. Uciekła, choć była dość pijana, żeby stracić lekkość i przewrócić szklankę. Anna skoczyła za nią.

- Zostaw mnie suko - usłyszała syknięcie, a gęstniejący wciąż tłum je rozdzielił.

Anna miała ochotę roztrzaskać srebrną kulę. Zawsze kiedy czuła się niepewnie albo krewiła sprawę, albo przeszarżowała. „Wszyscy ludzie cool idą na imprezę, wszystkie łamagi zostają w domu”.

Od świeżego powietrza zakręciło jej się w głowie. Ta noc tu nie pasuje, pomyślała schodząc do przejścia podziemnego i mijając potłuczone szkło. Przystanęła przy ścianie tak, aby mieć na widoku oba rozjaśnione księżycowym światłem otwory tunelu, odblokowała komórkę i wybrała numer.

- Słucham - Luiza miała głos podniecony i rześki. W tle brzęczała wiele obiecująca muzyka.

- Nie obudziłam cię?

Luiza roześmiała się tylko. O taki śmiech chodzi mężczy-znom.

- Muszę cię zapytać o twojego dziadka.

- Pytaj - żadnej irytacji, żadnego zdziwienia.

- Czym się zajmował?

- Był filologiem klasycznym.

- Dzięki. To mi wystarczy.

Glomus caroticum, vagus... etc. etc. etc.

10.

Anna zasnęła na nocnym dyżurze. Nie zdarzyło jej się to od wieków, to znaczy od czasów, kiedy Kuba był jeszcze ma-lutki. Obudził ją dyżurny z recepcji, zdecydowanie łomocząc w framugę. Poderwała głowę i natychmiast przetarła dłonią usta. Zdarzyło jej się ślinić przez sen. Oto człowiek. Cokolwiek to znaczy w dzisiejszych czasach.

- Na dole jest jakaś zakonnica i koniecznie chce się z tobą zobaczyć - widziała w jego oczach ciekawość.

- Na dole jest jakaś zakonnica i koniecznie chce się z tobą zobaczyć - widziała w jego oczach ciekawość.

- Poproś ją na górę. Pokręcił głową.

- Nie chce.

- W porządku, już schodzę - zdecydowane „chcę” lub „nie chcę” pasowało wyłącznie do siostry Angeli. Zakonnica starała się ciężkimi męskimi półbutami jeszcze bardziej spłaszczyć płytki na podłodze. Ciekawe, czy je rachuje jak paciorki różańca.

- Ona na pewno jest zakonnica? - upewnił się policjant

- Na sto procent.

Jaśniejszy grymas przemknął po twarzy zakownicy, kiedy zobaczyła Annę.

- Taksówka czeka.

- Dokąd jedziemy? - spytała Anna, zbyt głośno trzaskając drzwiami samochodu.

- Do naszego domu dla dziewcząt. Mamy tam skromne ambulatorium.

- Czy... któraś została zgwałcona? - Przemoc wobec pro-stytutek była na porządku dziennym.

Dziewczyny wliczały to w zawód. I milczały.

- Tym razem mamy klienta.

- Jakaś się odgryzła?

- Nie. I nie były to żadne serwery.

- Serwery?

- Pospacerujesz sobie w obcasach po kimś pół godziny i masz dwieście złotych. Tyle, że tu chodziło o „zwykłe” zara-bianie parterem. I prostytutka była chłopcem.

Anna zrozumiała, czemu mężczyzna nie zgłosił się wprost do nich. Pewnie ma żonę, a przed stosunkiem zdejmuje obrączkę.

- Rozpoznał chłopaka na zdjęciu. To był Tomasz Wilk.

Dzięki Bogu, wiemy przynajmniej, że chłopak żyje.

- Chłopak stłukł go na Centralnym. Wiedział, że Wilk jest niepełnoletni i na gigancie.

- Jasna cholera. Narkotyki? - Nie. Sama go spytasz.

Szpakowaty mężczyzna siedzący na leżance ze skaju nie chciał się wylegitymować. Twierdził, że dowód zostawił w hotelu. Kolejny przyjezdny, który chciał zakosztować Warszawy nocą. Teraz, oprócz zdecydowanie dobrych perfum, pachniał i krwią.

Nieznana Annie zakonnica kończyła mu zakładać szwy na rozbitym łuku brwiowym. Gość był wściekły, jego ubranie nadawało się tylko do kosza, ale nie wyglądało na to, żeby miał mdłości i wstrząs mózgu.

- Siostra Angela obiecała mi dyskrecję.

Zakonnica spoglądała na rozjarzony sufit, w świetle jarzeniówki szukając nieistniejących pajęczyn. Nad drzwiami wisiał ukrzyżowany Chrystus.

- Zostawmy Bogu co boskie, a cesarzowi co cesarskie.

Mężczyzna chrząknął.

- Jestem katolikiem. Cisza.

- Moja rodzina... Moje interesy...

- Chłopak pana okradł?

- Nie.

- To dobrze. Będzie mógł pan odwdzińczyć się zakonni-com.

Pokazała mu gazetę ze zdjęciem Wilka.

- To on?

- To ten - rzekł z ociąganiem. - Ale w innych okolicznościach tego nie potwierdzą.

- Podobno wiedział pan, że to uciekinier. Niepełnoletni.

Przed maturą... Ma pan dzieci?

- Córkę. Bardzo małą... Zresztą nie muszę odpowiadać.

- Dlaczego nie poszedł pan do agencji?

- Myślałem, że ten chłopak będzie czystszy niż zawodówka.

- I tańszy?

- Czystszy. Chyba jasno się wyrażam. - Gdzie miało dojść do stosunku?

- Dworzec ma wiele zakamarków.

- Więc to nie pierwszy raz? A co pani do tego?

- Pani komisarz - poprawiła go.

- Ani pani nie jest tu służbowo, ani ja nie byłem tam.

Umówiliśmy się na łaskę.

- Prezerwatywa?

- Nie było.

- Co później?

- Pomyślałem, że chciałbym, żeby on mnie - chrząknął - spenetrował.

- Bo to taki czysty chłopiec?

- Fiołkami nie pachniał. Widać, że potrzebuje pieniędzy.

Zaczęliśmy, a później jego zaczęło boleć... I wściekł się.

- Nie dość go pan podniecił? Poruszył się nerwowo na piszczącym skaju.

- Widziałem... miał jakąś wadę. Napletek mu nie schodził.

Jakiś król też to miał.

- Dobra, dostał pan od niego, a dalej...

- A cholera wie! Gdzieś poleciał. A ja zostałem... zaproszony do zakonnicy.

- Doskonale się panem zajęły. Czemu więc zgodził się pan zobaczyć ze mną?

- Jak to czemu? Żebyście złapali tę agresywną ciotę! Anna nie odezwała się i opuściła pokój.

- Nie kłamie?

- Nie, siostrze. Jest zbyt pewny swego. Jedno mnie tylko zastanawia, czemu Wilkowi w niemowlęctwie nie zoperowano członka. To nie jest chyba trudny zabieg?

- Trochę jak obrzezanie. I zupełnie jak obrzezanie wygląda.

Czy był w tym trop? Mogło też chodzić o coś innego. Może matka - gdy Tomasz się urodził - nie chciała go wypuścić z rąk? Tylko czego się bała? Że Tomek umrze, jak poprzednie dziecko.

- Siostrze, myślisz, że wróci na dworzec?

- Nie szukałabym go po tej stronie Wisły.

Tej nocy umarła Patrycja Wilk i Anna nie musiała już jechać do mitycznego Otwocka, aby przesłuchać męża. Jeszcze jednak o tym nie wiedziała. O banku z kolei zapomniała. Możliwe, że gdyby świat był bardziej leniwy to wszystkim żyłoby się lepiej. Nie przypominałby ogromnego, pobudzonego mrowiska z niedostępną królową. Albo okrutniejszej termitiery. Z drugiej strony, gdyby ludzie przestali się kierować instynktem, który Anna nazywała konsumpcyjnym (Jedźmy, jedźmy, sytych śmierć nas nie zabierze), gdyby każdy zatrzymał się i pomyślał:

„czy warto wyjść z kopca na zewnątrz?“, to czy pewnego dnia świat nie skończyłby się w błysku, nie utonął w widmowym cieniu głuchych ulic i ślepych latarni? Ile potrzeba, żeby cywilizacja przestała istnieć? Trzech dni?

Po trzech dniach, wypełnionych ciszą turbin, wody grunto-we podniosłyby się i zalały metro. Później już by poszło coraz szybciej. Byli skazani na swój los.

11.

- Miałaś wrócić we wtorek a dziś jest poniedziałek - barman z „Silver Moon” od razu ją rozpoznał. On i adeptka prostytutki. Dziewczyna musiała mieć talent, bo mężczyzna na trochę postanowił zostawić ją tylko dla siebie. Teraz stała za barem i przecierała szklanki.

- „Miała pani wrócić we wtorek a dziś jest poniedziałek, pani komisarz” - pokazała odznakę.

- Ta blacha zatrzyma, wystrzeloną kulę? - zainteresowała się blondynka.

— Nie wiem. Ale teraz chcę wiedzieć, gdzie jest Tomasz Wilk.

— Kto? Tylu ich się tu kręci - burknął barman.

— Nie ściemniaj. Gdzie jest chłopak ze zdjęcia?

Dziewczyna intensywniej tarła szkło, młoda, bardzo młodo-dziutka, ale zbyt dotknięta przez ludzi, żeby złapać się na haczyk historii o umierającej (poprawka - już martwej) matce.

Anna westchnęła. Mówiła spokojnie i wyraźnie.

- Pobił klienta. Bez rodziny, bez kompleksów, za to bo-gatego.

- Nie macie doniesienia.

- To co bym tu robiła? Gość mówi: dorwij młodego skur-wysyna.

- Ooo, dorabiasz na boku, królowo? Uśmiechnęła się.

- Słuchaj pacanie - chronisz ciotę, która ma nie tylko nie po kolei w głowie, ale się wścieka, kiedy mu nie staje.

Sprawdziłeś go?

Skrzywił się.

- Nie sypiam z facetami.

- Może powinienes. Chociaż zabrać go do sauny, nim za-metkujesz wybrakowany towar.

- Ściemniasz.

- Przekonaj się. Tylko pamiętaj, że jednego już pobił. To nie robi renomy, prawda?

- Nie wiem co będę z tego wszystkiego miał. - Odebrał

blondynce ścierkę i zaczął pucować lśniący blat.

- Święty spokój. I oczywiście nie tknę tego przybytku kul-tury. Inaczej: stręczycielstwo, czerpanie korzyści z nierzą-du nieletnich. Przynajmniej jeśli chodzi o Wilka, bo przecież pani - skłoniła się w stronę blondynki - jest dorosła.

- Siedzi na barce - powiedziała. - Sucha barka, niedaleko stąd. Pokażę kierunek.

Dostała szmatą w twarz.

- Siedź tu kurwo!

Anna zacisnęła zęby. Dziewczyna cofnęła się, ale później wyjęła spod blatu latarkę.

- Jest przyzwyczajony do jej światła. Idź wzdłuż Wału i szukaj w chaszczach za bocianem.

- Może jutro przyjdę na czipendejlsów... Byle mieli wszystko na miejscu.

Pomyślała, że to wszystko wygląda trochę na podchody harcerskie. Co prawda jej wiedza o ZHP była mierna -

kiedy był czas, żeby zapisywać się do drużyn to Anna organicznie wręcz nie zносиła mundurów. Munduru swojego ojca także. Tyle, że on był wtedy już w dochodzeniówce i podobnie jak Kuroń chodził w tureckiej kurteczce dżinsowej. Było to jedyne podobieństwo. Tuż przed stanem wojennym po łódzkich komendach i komisariatach poszła plotka, że jeśli

„Solidarność” zwycięży, to zbierze rodziny milicjantów na największym stadionie sportowym i zrobi to co na stadionach robił Pinochet i wszyscy ci inni. Jasne, teraz to brzmiało komplet-nie

niedorzecznie, a nawet bluźnierczo.

Ale wtedy Anna się bała. i zapamiętała też strach swojej matki.

Padały na nią cienie billboardów podświetlonych przez uliczne lampy. Po drugiej stronie Wału migotało światło dźwigu, remontującego wiadukt.

Minęła podupadłe budynki warsztatów szkutniczych; później stanęła przed magazynem budowlanym. Bocian firmy Atlas niewzruszenie tkwił w gnieździe. Zaraz obok, w rzeczne zagłębienie prowadził podjazd. Brama nie była zamknięta na kłódkę. Żadnych psów. Łańcuch dało się łatwo rozplatać. Wybrukowana kostką droga prowadziła w prawo, ale Anna wybrała chaszczkę zaciemniającą lewą stronę. Na rozmiękłym gruncie leżał zwalony szlaban.

Przekroczyła go. Zmienacka załazła się na suchej, rdzewiejącej barce, wtopionej w grunt jak pień wiekowego drzewa. Obok walały się połamane ostatnią wichurą gałęzie. Stary, porośnięty mchem tapczan warował niczym pies.

Zrobiła krok do przodu i musiała włączyć latarkę. Choć było tu blisko do Wału, światło odcinały krzewy. Miała nadzieję, że z tą latarką nie było jednej wielkiej zmyły i że Wilk właśnie nie ucieka. Puszki po piwie, torebki, osmalone od

pirackich ognisk pniaki, fragment ceglanych fundamentów. A jednak było tu czystiej niż się spodziewała. Stąpała ostrożnie a i tak na pobliskim drzewie zakwilił wybudzony ptak.

Weszła na barcę, ciesząc się, że ma buty na gumowej podeszwie, ale po chwili stwierdziła, że może dać sobie spokój z ostrożnością. Barka czy raczej holownik, była opuszczona. Przez zapach stęchlizny i rdzy przełamywała się woń turystycznej puszek. I coś jeszcze.

Znalazła legowisko Wilka. Trochę izolujących gazet, tektury i coś co wyglądało jak męska pelisa. Stała świeczka.

To co poczuła w ostatniej nucie było zapachem rozgrzanej stearyny.

Po cichu ruszyła nad brzeg rzeki.

Siedział w kucki nad samą wodą. Nie szukał schronienia w chaszczach. Czubki adidasów miał wbite w piasek. Palił.

Nie zareagował w żaden sposób na podchodzącą spokojnie Annę.

- Poczujesz mnie? - zapytała.

Zrobił gest jakby chciał podzielić się fajką, którą trzymał a później zmienacka rzucił się do przodu. Anna wiedziała, że prądy w tej części rzeki są bezpieczne dla pływających psów, ale czy dla długonogiego człowieka? Chlapiąc przebiegł kawałek i rzucił się głową do przodu. Gdyby tylko mógł, spróbowałby się utopić w kałuży. Poczula zimną kroplę na twarzy. Ugryzła się w język, żeby nie wrzasnąć

„idiota” i wbiegła za nim w wodę.

Nie wiadomo, czy chłopak zrezygnował z zamiaru utopienia się czy był tak nieporadny. Krztusił się i płakał. Złapała go za barki i przytrzymała. Dał się wyprowadzić na brzeg.

Dał sobie zapiąć kajdanki. To popychając go, to ciągnąc doprowadziła chłopca do komendy. Nie odezwał się słowem, za to jego zęby dzwoniły jak oszalałe.

- To poszukiwany Tomasz Wilk - powiedziała dyżurnemu.

- Zapakuj go do naszej celi, nie może trafić na dołek.

Komenda miała pomieszczenie więzienne, które wyglądało jak klatka w zoo, ale przynajmniej tutaj Anna mogła mieć chłopaka na oku.

- Zrób mu herbaty, proszę. - Nie chciała, żeby dyżurujący się skrzywił. - W apteczce powinna być aspiryna. I jeszcze jedno: zabierz mu sznurówki, pasek, sam wiesz...

Kiedy ochłonie, zadzwoni do Szeliga. Nie, kiedy się roz-grzeje. Od razu ruszyła pod staroświecki

prysznic. Gorąca para skryła jej ciało, ale Anna wyobrażała sobie, że stoi w pełnym słońcu.

12.

Piotr Wilk, mężczyzna o poszarzałej lisiej twarzy wbity w tani, czarny garnitur o niemodnym kroju. Wdowiec. Pod kostiumem, w którym oddał honory martwej żonie, jego ciało musiało być żyłaste. Nie był akwizytorem, tylko hydraulikiem. To Anna już wiedziała.

- Chciał się pan ze mną widzieć. - Nie podniosła się z krzesła i nie zaproponowała mężczyźnie, żeby usiadł.

- Zatrzymaliście mojego syna. Mieliście go odnaleźć, odwieść od samobójstwa a nie zamykać! - szybko podniósł

głos. Najwyraźniej był do tego przyzwyczajony.

- Proszę przyjąć moje kondolencje... A co do Tomasza Wilka zatrzymaliśmy go nie naginając żadnych przepisów.

- Jest o coś oskarżony? Chcę go stąd zabrać.

- Żeby go bić, skoro zabrakło matki? Zresztą bił ich pan oboje. Nie pomyślał pan, że chłopak znalazł się tu przez pana?

- Bzdury. Powinienem bić go mocniej. Ale Patrycja zawsze broniła tego maminsynka. Nie wrodził się we mnie.

- Inne dziecko mogło...

- Chcę zobaczyć Tomka. Nie wyjdę stąd, dopóki się z nim i nie zobaczę.

- To zależy od niego.

- Jest niepełnoletni.

- Ale nie ubezwłasnowolniony. Czy pan, panie Wilk w ogóle wie, że genitalia pańskiego syna są poważnie zniekształcone. To wada wrodzona.

- Ale może z „tym” zrobić dziecko?

Po raz pierwszy poczuła od niego, oprócz zapachu szpitala, woń potu. Przed oczami stanęła jej dziewczyna ze szpitalnej poczekalni, jeszcze blada od torsji.

- O to musi pan zapytać lekarza. - Wstała. - Teraz pójdę do Tomka. Proszę nic tu nie ruszać. - Na wszelki wypadek zostawiła szeroko otwarte drzwi.

Chłopak w celi nie spał. Jakiś gliniarz dał mu sprany sportowy podkoszulek i zbyt dla niego obszerne spodnie moro.

Wilk, gdy zobaczył policjantkę, podciągnął nogi na pryczę i szczelnie nakrył się kocem.

- Twój ojciec przyszedł i chce się z tobą zobaczyć. - Tego samego dnia, wcześniej, poinformowała go o śmierci matki. Milczał i wtedy, i teraz. - Poproś go, może przywiezie ci jakieś własne ubranie.

- Długo będziecie mnie tu trzymać?

- Biłeś klientów. Jeśli złożą oskarżenie...

- Dlatego mnie pani zamknęła?

- Nie. - Coś mi podpowiadało, że muszę to zrobić. I chcia-

łam cię mieć na oku. - Ojciec czeka.

- Nie chcę go widzieć.

- W końcu będziesz musiał. Jesteś niepełnoletnim na gigancie, podejrzanym o manię samobójczą.

Nagle przysunął się do krat.

- Proszę pani...

Obróciła się, ale zbyt wolno, niezdecydowanie i on już zmienił zdanie. Ukrył się przed nią i całym światem pod kocem. Małża w porysowanej skorupie.

W drodze powrotnej dała znak Marioli, żeby ta poszła za nią. Tymczasem Piotr Wilk stał jak wrośnięty w ziemię, tylko jego pięści rozwierały się i zaciskały.

- Tomasz Wilk nie chce się z panem widzieć.
- Gnojek. Wrócę tu z adwokatem. Złożę zażalenie.
- Na mnie czy na syna? Mariolo, zaprowadź pana Wilka do wyjścia.
- Obejdzie się - warknął. Później usłyszały tylko odgłos jego szybkich kroków na korytarzu.
- Cóż za miły typ...
- Prawda? - odpowiedziała Anna.
- Czego ty w ogóle chcesz od tamtego chłopaka? I czy nie powinien obejrzeć go lekarz?
- Chował się nad Wisłą, kiedy zamordowano starca. Mógł coś widzieć.
- Aaa - Mariola myślami była już gdzie indziej. - Widzę u ciebie swoją gazetę i zabieram... - Spod lakierowanych skrzydeł wysypały się polaroidy, NN i jego sparaliżowany dziewiąty nerw.
- Cholera jasna. - Zapomniała? Ona zapomniała?! - Mariolka, daj to natychmiast do gazety. Apelujemy o to, żeby zgłaszali się wszyscy, którzy pomogą nam ustalić tożsamość mężczyzny,
- Dziennikarze będą dopytywać o to morderstwo.
- Spław ich. Powiedz tylko, że ciało wyrzuciła Wisła i że...
- ...prowadzimy dochodzenie.
- Spróbuj zagadać w kurierze lokalnym, żeby pokazali go dziś jeszcze w telewizji. Twój kuzyn nadal tam pracuje?
- Zepsujemy ludziom kolację - Mariola zręcznie ominęła temat rodziny.
- Tym razem to my musimy się najeść.
- Myślisz o czymś? - Chyba tak.

Coś tykało w jej umyśle, ale tryby nie miały jeszcze zamiaru zaskoczyć.

- Nie muszę widzieć się z ojcem... Mogę, ale nie muszę... -

mamrotał Tomasz Wilk wciągając stęchły zapach koca, który wchłonął resztki wody z Wisły. Ale Anna Hwierut tego nie słyszała.

13.

Nie mogli powiedzieć, że po ogłoszeniu o NN w komendzie rozdzwoniły się telefony. Anna odsuwała od siebie myśl, że po prostu mają ich gdzieś. Gdzieś. Gdzieś. Obywatele nawet nie zbulwersowani widokiem nieboszczyka. Popsuła im kolacje? Przecież konsumują śmierć z poranną gazetą, południowym radiem, wieczorną telewizją. Przechodzi gładko jak potrawa light, odpowiednio spreparowana przez media jak potrawa light, odpowiednio spreparowana przez media i własny, wypierający się lękliwej i zwierzęcej podświadomości umysł. Umysły zniewolone. Dobra, Anna też się bała swojej nieuniknionej śmierci i starości, którą można oszukać tylko przez odpowiednio szybkie unicestwienie. Jeszcze bardziej, przeraźliwie wręcz, bała się starości Kuby, której pewnie nie zobaczy. Nie zobaczy tego co jej syn dostał od matki w pakiecie z pierwszym oddechem - oddech ostatni. Krzyczało jej serce. Czy inni rodzice też o tym myślą? Temat dość trudny do podjęcia na wywiadówkach albo towarzyskich po-gaduchach...

- Anno - gdzieś z daleka dociera do niej głos partnera.

Partnera tu i „tam”. Oczywiście nie rozmawiali o wspólnej nocy jak i o wszystkich poprzednich. - Wyjdźmy z komendy. Rozruszamy się.

W końcu jednak zadzwonił telefon. To Wojtek odebrał

rozmówczynię. Starsza samotna pani uwięziona w bloku z wielkiej płyty, która, jeżeli akurat na żadnym z kanałów nie było powtórki Klanu, lubiła sobie powygłądać przez okno. Jej sąsiada, uderzająco podobnego do tego ze zdjęcia, żona regularnie wyprowadzała na spacer. Ale ostatnio przestała... Dziwne małżeństwo. Jak to dziwne?

Dziwne i już. Sąsiad był schorowany, ale nie wyglądał aż tak źle jak na fotografii. I te opuszczone powieki... Ale gdyby mogła mu się przyjrzeć z bliska...

Podczas gdy Wojtek notował domniemane dane NN, Anna zastanawiała się, dlaczego oczy wszystkich nieboszczyków pokrywa błękitne bielmo. Nieprzezroczyście jak Styks.

Kiedyś wierzono, że w nieruchomych źrenicach ofiary zapisuje się portret mordercy... W źrenicach? W tej pustce? Jednak dawno temu wierzono też w Piekło i Niebo.

- Pojedziemy? — zapytał Szelig.

- Waldemar Mroczek - odczytała nazwiska I adres z Saskiej Kępy. - Myślisz, że ona będzie w domu?

- Albo na skwerku...

- Za zimno.

- Albo w kościele...

- Otwierają tylko na czas mszy.

- No to w domu.

- Zaczekaj w samochodzie - poprosiła Szeliga. Nie oponował. Stare kobiety nie wchodziły w jego kompetencje.

Annie przemknęło przez głowę, że czasem w ogóle go nie lubi. Co jak widać nie przeszkadzało ani w seksie, ani w pracy.

Domofon był wyrwany. Ten akt wandalizmu akurat jej odpowiadał. Mieszkanie, którego szukała było na parterze

-dogodnie dla starców, złodziei i glin. Zadzwoniła, a później zastukała.

Usłyszała szelest pod drzwiami. Ktoś ją lustrował przez wizjer.

- Proszę otworzyć - komenda była ostra, neutralizowana przez głos. Takim głosem zwracała się do

zamkniętego w sobie Kuby, jeżeli nie chciała go spojrzeć. Zamek zachrobotał.

- Policja.

Twarz kobiety po drugiej stronie progu miała niezdrowy kolor kości.

- Wiem. Czekałam.

- Proszę więc przyjąć moje kondolencje.

- Zajmujecie się nim? Moim mężem? Anna mówiła spokojnie, cicho, wyraźnie.

- Pani mąż nie żyje. Niedługo będziemy mogli pokazać pani ciało - słowa goniły starą kobietę, która zniknęła w głębi mieszkania, wykonując wcześniej zapraszający gest ręką. Annę uderzył kontrast pomiędzy zadbanym i jakimś takim inteligenckim wyglądem kobiety, a stanem mieszkania. Pokoje z gołym, odłazającym linoleum, pachnące moczem i stęchlizną. Sprzętów niewiele, za to książek mnóstwo. Pracowicie ułożona biblioteka.

- Mąż interesował się powojenną historią Polski - rzuciła tonem wyjaśnienia. Annę zmroziło to łagodne przejście od zaginionego do martwego męża. Nie umknęło też jej uwadze, że książki są nie tylko zakurzone, ale przede wszystkim dość wiekowe. Same starsze wydania, żadnych nowych Grossów itd. Dziwne jak na miłośnika.

- Podobno był chory.

- Ostatnio czuł się zaskakująco dobrze. To znaczy fizycz-nie. Był pobudzony...

- Nie zgłosiła pani zaginięcia. Dlaczego? Nie bała się pani o męża?

- Jesteśmy małżeństwem od pięćdziesięciu lat, nieraz zdarzało się, że wychodził... I wracał. Kiedyś kupienie zapalek zajęło mu dwa miesiące. Czasem absorbowała go jakaś pani. - Mroczkova usiadła na jednej z kanap. Druga była przesunięta pod przeciwległą ścianę. Anna skojarzyła, że jej dziadkowie mieszkali bardzo podobnie.

Pięćdziesiąt lat. Która to rocznica? Złoto? Medal za siłę miłości czy przyzwyczajenia?

- Pani nie ma męża, pani komisarz? - Nie.

- To mnie pani nie zrozumie. W dzienniku powiedziano...

- A więc ogląda pani wiadomości?

- Od czasów pierwszego rubina. Teraz mamy Jowisza.

Dobrze odbiera... W dzienniku powiedzieli, że mojego męża wyrzuciła Wisła. Utonął?

Anna czekała jak dobry reporter. Jak dobry glina. Ludzi przeraża cisza. Pauza kojarzy im się paskudnie. Ale tu wszystko rozbiło się o spokój wdowy.

- Był taki depresyjny. Całe życie niezadowolony. Może wojna... Po wojnie to był już zupełnie inny chłopak.

Powinnam była do was zadzwonić... Czasem się odgrażał, że skoczy z mostu. A wody się nie bał...

Złapała się za pierś na wysokości serca, pochyliła do przodu.

- Źle się pani czuje? To serce? Zadzwonić po lekarza?

- Pójść po sąsiadkę. To wystarczy. Zresztą zaraz będzie lepiej.

Anna stała niezdecydowana, czy iść po sąsiadkę czy jednak zadzwonić po pogotowie, ale po krótkiej chwili stara kobieta usiadła znowu normalnie z przeproszającym za kłopot półuśmiechem.

- Już w porządku. Nie musi się pani niepokoić. Pytała pani...

- Nie mają państwo dzieci? Pokręciła przecząco głową.

- Przyjaciół?

- Mąż miał znajomych w zajezdni, był motorniczym... Ale kiedy poszedł na emeryturę, kontakt się urwał.

- A pani przyjaciele?

- Mąż był moim przyjacielem.

- Pomimo tego, że zniknął?
- Powinnaś dziecko wyjść za mąż.

Później kobieta zapatrzyła się w okno i przestały do niej docierać słowa pani komisarz.

Anna pokonała śmierzący korytarz i wyłowiła z drzwi obok starą kobietę w lokówkach. Mały, czarny terier po-szczekiwał, obskakując jej nogę.

- To ja dzwoniłam. Ja dzwoniłam na policję. Tyle, że ja rozmawiałam z mężczyzną. I co? Miałam rację?

- Miała pani - powiedziała Anna. - Teraz proszę iść po-cieszyć sąsiadkę. Wrócę tu z patrolem i spisujemy zeznania.

— Od razu oddam jej garnek. Jej mąż znowu podrzucił. Zupą, jakby myślał, że mieszkam w lodówce.

— Proszę iść do niej.

Szelig czekał oparty o maskę samochodu.

— To ona. Jego żona. Myśli, że popełnił samobójstwo. Jak się dowie, że to morderstwo, pewnie jej ulży, że można zorganizować katolicki pogrzeb... - Anna jednak nie widziała żadnych krzyży. Tylko te książki. Nie było też zdjęć, obrazów, lusterek, wiszących półek. Powinna była zajrzeć do kuchni. Ale zrobi to później. - Jej sąsiadka... - spojrzała na twarz Szeliga i przerwała. - Coś się stało?

- Dzwonili z komendy. Tomasz Wilk przyznał się przed chwilą do morderstwa. Twierdzi, że to on zabił Mrocza.

- Utopił?

- Nie utopił. Zabił.

- Musimy go przesłuchać. Od razu. Zadzwoń, niech przyślą tutaj kogoś do spisania zeznań. Uprzedź ich, że wdowa jest w szoku.

- Pani profesorowa?

- Mroczek nie był profesorem.

- To kim?

- Motorniczym.

14.

Dwie prawdy, sprzeczne ze sobą: „W tej pracy nie można się angażować”; „Tej pracy nie można wykonywać bez zaangażowania”. Anna Hwierut chciała być kimś innym.

Sama jednak nie wiedziała kim.

Kiedy wracali na komendę zaczął sypać śnieg. Wreszcie, pomyślała irracjonalnie Anna patrząc na mokre płatki przyklejające się do szyby.

Sprzątaczką będzie pewnie innego zdania - traktory policyjnych butów już zdołały nieźle nabrudzić w holu.

Nieliczni petenci, wierząc się na niewygodnych krzesłach patrzyli ponuro na rozpuszczające się brunatne plamy.

Śnieg w mieście nigdy nie jest czysty.

Ze zdumieniem ujrzeni Pietrzaka, który w samej koszuli z podwiniętymi rękami kręcił się wokół komputerów na recepcji. Jego dorosły syn był informatykiem, ale czyżby te umiejętności przeszły na seniora przez osmozę? Dostrzegł

ich i pomachał, unosząc kciuk.

- Ty czy ja? - zapytał Wojtek, kiedy przeciskali się wąskim, zagraconym korytarzem.

- Ty - odpowiedziała po chwili namysłu. Na stole w pokoju przesłuchań stał stary magnetofon, obok leżał nowoczesny cyfrowy dyktafon w kolorze złota...

Udoskonalamy nowe metody nie rezygnując ze starych, przeszło przez myśl Annie. Nie było stenotypistki, później wszystko przepisze, a oskarżony pokwituje swoją spowiedź podpisem...

Tomek Wilk wyglądał jak ktoś, komu wielki kamień spadł

z serca. Na bladą twarz wróciły mu rumieńce, a w dłoniach pewnie trzymał kubek z parującą kawą. Oto nawrócony grzesznik. Annie powinno się to spodobać, a nie spodobało.

- Czy twój ojciec cię dotykał? - wypaliła. Wojtek spojrzał na nią z niesmakiem; przecież to on miał rozpocząć przesłuchanie.

Tomasz odpowiedział spokojnie:

- Tak. Bicie jest dotykiem.

- Czy rozumiesz co będzie dalej? Jeśli złożysz formalne przyznanie się do winy? Mówimy o popełnieniu morderstwa, chyba że prokuratura...

- Tak, zabiłem tego starego gościa.

- Nazywał się Mroczek. Waldemar Mroczek.

- Zabiłem tego faceta.

- Czy to ten mężczyzna? - Anna podsunęła polaroidy.

- Tak. To on.

- Dokonano okazania, a podejrzany rozpoznał na doku-mentacji fotograficznej ofiarę - powiedziała spokojnie do magnetofonu.

Usiadła wygodniej na krześle i spojrzała na Wilka.

- Jak się poznaliście?

- Poderwał mnie. To znaczy chyba ja go poderwałem, przed takim klubem na Wale Miedzeszyńskim.

- Starszy pan, siedemdziesiąt osiem lat - Anna zajrzała w papiery - uganiania się za małolatami po parkingach? Zamiast grzecznie spać?

- Może wyszedł na spacer z psem, a reszta po prostu się wydarzyła?

- Widziałeś jakiegoś psa?

- Nie.

- Waldemar Mroczek nie miał zwierząt. Miał za to żonę, bibliotekę i upodobanie do nocnych wędrówek. Zupełnie jak ty. Tak twierdziła twoja matka.

- Nie mieszajcie do tego mojej matki! Ona umarła!

- Czemu uciekłeś z Otwocka do Warszawy? - zapytał Wojtek.

- W Otwocku jest nudno. No i potrzebowałem pieniędzy.

- Na co?

- Chciałem pojechać do Anglii.

- Tam gdzie wyjechała twoja dziewczyna? - Tak.

- A masz paszport?

- Nie.

- To jak to sobie wyobrażałeś? Cisza.

- Ten wycinek znaleziono w twoim pokoju. To nekrolog wspomnieniowy chłopaka trochę starszego od ciebie.

Poznajesz?

- On też był w Anglii.

- Dlatego go wyciąłeś? Cisza.

- Dlaczego chciałeś popełnić samobójstwo - znowu Anna przejęła pałeczkę.

- Nie chciałem! Potrzebowałem pieniędzy na bilet...

- Zgodzisz się na rozmowę z psychologiem?

- Tak.

- A na wariograf? -C o to jest?

- Urządzenie znane powszechnie jako „wykrywacz kłamstw”.

- Takie jak na filmach? Kiwnęła głową.

- Nie pamiętam, czy ten staruszek mnie poderwał czyja jego. Za czterdzieści złotych miałem zrobić mu laskę.

- Inni biorą więcej...

- Chwileczkę - przerwał jej Wojtek - co było dalej?

- Poszliśmy w krzaki. Nad Wisłę. Nie chciałem, żeby ktokolwiek nas zobaczył, a wokół było jasno... Księżyc jasno świecił. Tak jak lubię. Ten staruch miał problemy z cho-dzeniem, więc go podtrzymałem. Wcale nie był ciężki. I coś mamrotał. Chciałem, żeby pokazał mi pieniądze. Ale on powiedział... powiedział, że zapomniał. Wściekłem się.

- I wtedy go utopiłeś? - zapytała Anna.

- Nie utopiłem. Złapałem go za szyję i on zaraz nie żył. To było bardzo spokojne.

Anna poczuła, że ma tego dosyć.

- Dopiero później wrzuciłem tego... tego Mroczka do rzeki.

15.

Obserwowała, jak Szelig wychodzi z budynków biurowych, mija zajezdnię tramwajową z surrealistycznie wysokimi drzwiami i idzie wprost ku niej. Ładny facet, ładniejszy od przysłowiowego diabła.

- Ledwo co kojarzą Mrocza. Nowa obsada. Żadnych kumpli. Wiele roczników poszło na emeryturę albo skorzystało z tej... - pstryknął palcami - pomostówki?

- Nie wiem.

- W biurze sprawdzają inne teczki personalne i może znajdą dla nas jakiś kontakt. Ale wielu już nie żyje.

- Jak Mroczek. Wsiadł do jej samochodu.

- Nawet nie wiesz, ile kobiet pracuje teraz na tramwajach.

Ostatnio tak było zaraz po wojnie. W Łodzi.

- A to skąd wiesz?

- Wyobraź sobie, że nie zmieniła się bufetowa. Powiedziała mi też coś ciekawego. Mroczek nie odszedł na emeryturę, tylko się zwolnił.

- To mu się chyba nie opłacało?

- W personalnym też tak twierdzą, ale zrobił to. Dziwne, w życiu nie spowodował żadnego wypadku.

- Wypadek spotkał jego.

- „Wypadek”?

Machnęła ręką w geście „to nieważne”. Była zamyślona.

- Wiadomo, dlaczego odszedł?

- Kłopoty ze zdrowiem. Nie, nie swoim. Podobno musiał

zająć się żoną. Była księgową w szpitalu onkologicznym.

Zająć się. Jak długo jej ojciec sobie jeszcze poradzi? Wciąż od niego ucieka. Ale już wolniej. W końcu zatrzyma się.

Kiedy matka była chora, zamiast ze szpitala wracać zaraz do domu na z trudem przez ojca wypichcony obiad, jeździła tramwajami od krańcówki do krańcówki. Pozornie bez celu.

Hołubiła myśl, że dobrze byłoby, gdyby tramwaj nigdy się nie zatrzymał. Aby jutro nie nastąpiło, nie zdławiło „dziś”, kiedy jeszcze miała rodzinę.

Po śmierci matki każdy weekend spędzała w stolicy. Przyjeżdżała pierwszym porannym pociągiem, wracała ostatnim. Przez cały dzień się włóczyła. Najlepiej zapamiętała rondo de Gaulle'a, jeszcze bez palmy, Zachętę (nie była na żadnej wystawie), ciężkie drzwi Muzeum Etnograficznego (tam chroniła się przed deszczem) i wielopiętrowy sklep z zabawkami na Placu Konstytucji.

Nigdy nic nie kupiła. Ojcu podbierała tylko tyle pieniędzy, aby starczyło na bilety... Na pewno się zorientował, że myszkuje mu po kieszeniach, ale nigdy nic nie powiedział.

Przez pierwszy rok głównie milczeli.

Kiedy policja niedawno zatrzymała w Łodzi czternastolatka, który wykolejał tramwaje, psycholog sądowy stwierdził, że dzieciak upatrył sobie ten środek komunikacji, bo czuł się w nim anonimowy. Wykolejał je, przestawiając w ostatniej chwili zwrotnice pilotem własnej roboty. Podobno chorobliwie szukał porządku, rozpromieniony obserwował później tramwaj unoszony przez dźwig i stawiany z powrotem na trasę...

Wysadziła Wojtka przed komendą, a sama pojechała do banku wymienić kartę. Trafiła jej się praktykantka. O

dziwo, Anna w ogóle się nie zdenerwowała patrząc, jak dziewczyna myli się w oczywistościach. Po prostu w tamtej ginącej chwili nic jej nie obchodziło.

Anna zaparkowała obok bloku Mroczków. Intensywne słońce przecinało przednią szybę. Mocniej naciągnęła na czoło bejsbolówkę, podginając daszek. Czekala.

Dzieciaki bawiły się z wrzaskiem. Bobrowały pod kontenerem na śmieci i wracały do piaskownicy, w której jeszcze zostało trochę białego puchu. Nosiły książki. W równych, rozmokłych hałdach ustawiono je na śmietniku. Gdy odejdą dzieci, przyjdą śmietnikowe dziadki.

Anna dzięki „czytelniczej” aktywności tych pierwszych nie musiała porzucać samochodu i upewniać się, co marnieje pośród ludzkich odpadków. Oczywiście była to biblioteka historyczna Waldemara Mrocza.

Anna wyciągnęła komórkę i zadzwoniła do Luizy.

- Masz jeszcze u siebie tego denata od dziesiątego nerwu?

- Jeszcze. Po południu zabierają go łapiduchy.

- Nie cięłaś czaszki?

- Wdowę to ucieszyło. Choć i tak chce go skremować. Zrobi to i gliniarze wszystko stracą, pomyślała Anna. Jakie wszystko?

- Jak zareagowała?

- Nijak.

- Dobrze, że nie jesteś psychologiem.

- Prawda?

- Luizy, czy mogłabyś mu zajrzeć pod kopułę.

- Trochę u mnie leży. Mózg już pewnie oklapł. Chcesz wy--Na badania laboratoryjne. - I nie wiesz, czego szukasz? -

Tego co znikło. - Znikło? Mają analizować „nic”? Dobrze, powiem technikowi, żeby przygotował narzędzia. Ale zamknęłam już klatkę piersiową, a teraz znowu wszystko będę musiała rozgrzebywać... Anna wiedziała, że mózg usunięty na sekcji ląduje w jamie brzusznej albo nawet wyżej: dialog cichego serca z milczącym umysłem. I tylko tych paru gramów duszy brak. - Nie ściemniaj. Dasz czarną robotę asystentom.

- Nawet nie wiesz, ilu ich tutaj mamy.

- Techników?

- Nieboszczyków.

Szczał pies. A później ktoś zastukał w szybę samochodu.

Sąsiadka Mroczków. Czy raczej wdowy Mroczek. Anna zamiast opuścić szybę otworzyła drzwi.

- Robi pani rozpoznanie terenu?

Jak widać edukowanie obywateli poprzez emisję seriali kryminalnych nie poszło na marne. Mały terier błyskawicznie wspiał się na jej kolana.

- Lubi jeździć - wyjaśniła sąsiadka.

- A pani ma samochód?

- nie.

Pies obwąchiwał Annie pałce i ubijał łapkami brzuch. Miłe, ciepłe ciało. Oddech inny niż swój własny. Może powinna kupić Kubie szczeniaka? A jeśli skończy się na tym, że sama będzie go wyprowadzać? Albo prościej: od razu będzie musiała zabrać psa na komendę.

Kiedy była młodsza, myślała o jeszcze jednym dziecku. Nie była przekonana, czy chce wychowywać jedynaka i nie chodziło jej o domniemany egoizm takich dzieci. Po prostu ceniła rodzinę jako złudny pas bezpieczeństwa. Złudny?

Czy mając siostrę albo brata łatwiej przeszłaby przez śmierć matki? Żałoba podzielona przez dwa? Nie zaszła w ciążę, bo chciała mieć gwarancję, że jej drugie małżeństwo wypali. Mogłoby. Tylko co wtedy? Ona, nowy mąż, nowe dziecko i Kuba - już nie chłopiec a widmo z poprzedniego, straconego życia. Nie, nie mogła mu tego zrobić.

Kiedy był mały kupiła mu papużkę falistą. I co? Papużka zdechła, kiedy zima była za pasem. Nieprzyjemny widok.

W porządku, czasem bardziej bolała nad tragedią zwierząt niż ludzi. Ptaszka zapakowała w pudełko i z synem urządzili uroczysty pogrzeb na łysym klombie. Annie wydawało się, że syn zniósł to nadzwyczaj dobrze, aż minęło parę miesięcy, nowy rok i znowu się ociepliło.

Kubuś powiedział wtedy:

- Idzie wiosna. Już pora żebyśmy odkopali papużkę.
 - Wyrzuciła wszystkie jego książki - powiedziała sąsiadka. -
- Przez parę lat ich nie ruszała, a teraz ot tak wyrzuciła.

Anna milczała.

- Nie powinna pani spisać moich zeznań?
- Może najpierw pomówmy nieoficjalnie?
- Skaranie boskie z nim miała, to znaczy ostatnio, no bo wcześniej „dobrana para”. Choć dzieci się go bały.

- O?
- Próbował je karmić jakimiś świństwami ze śmietnika.

Albo krzyczał hande hoch! Ale kiedy znikał, to dzieci naj-częściej go znajdowały i przyprowadzały.

Pies zasnął Annie na kolanach.

- Garnki jej wynosił, bieliznę... Tylko tych swoich książek nie ruszał. Skaranie boskie. A raz to wyskoczył na korytarz, że oni, to znaczy ona go zabija.

- Zadzwoń pani na policję? - W aktach musiał być raport.

- Nie. Bo widzi pani, on był wtedy golusieńki. Nie wolno ludzi zawstydząć, kiedy żyją. Nie wolno.

16.

" Nie strasz mnie
Nie boję się
Czarów, klątw
Biurowych mątw
Matki, siostry i psa
Ojca z zaświatów i lwa
I czarnej wołgi, wołgi, wołgi!"

Głos Kasi Nosowskiej wypełniał pokój. Anna zagryzła wargi, żeby nie zakłócić jękiem rytmu muzyki ani rytmu swojego i Szeliga.

Księżycowe światło przenikało przez uchylone żaluzje.

Anna widziała głowę mężczyzny poruszającą się pomiędzy jej udami.

Wczepiła palce we włosy partnera. Lubił, jak pieściła jego małżowiny uszne. Palcem, językiem. Mężczyźni i te ich małe tajemnice.

Patrzyła na kochanka, zastanawiając się, czy chce podciągnąć jego drżącą głowę do swoich ust? Uśmiechnęła się; naciskając lekko, dała mu znać, że zwolnił a ona pragnęła, aby przyspieszył.

Byli równego wzrostu, ale ona celowo zsunęła się w dół poduszki i teraz drzemała trzymając nos pod rozgrzaną pachą mężczyzny. Pomiedzy udami wciąż czuła mrowienie.

Nie chciała zasnąć, wiedziała, że to co teraz przeżywa jest naturalne, ale Anna tą intymnością musiała się nasycić.

Zorientowała się, że Wojtek też nie śpi, kiedy pogłaskał ją po włosach.

Wiatr przyniósł kocie miauczenie. Winda skrzypnęła i ruszyła, aby zatrzymać się na nieznanym piętrze.

Musieli zasnąć. Następne co pamiętała, to odgłos jakby drapania w drzwi. I kroki. Bardzo blisko. Poruszenie klamki u drzwi wejściowych. Wyciągnęła rękę i podświetliła dużą tarczę radiobudzika. Wojtek, również rozbudzony, potrzymał ją za ramię i dał znak, żeby milczała. I pozostała w łóżku. Sam nie kłopotząc się ubieraniem, cicho podniósł

się z materaca, zgrabnie wyjął pistolet z kabury i ruszył przyklepiony do ściany w stronę przedpokoju. Anna ostrożnie wysunęła stopy na chłodną podłogę. Zamek w drzwiach puścił. Ktoś przekroczył próg.

- Stój, bo strzelam! Na ziemię!

- Mamo?

Mieszkanie zalało światło. Przez chwilę wszystkich ośle-

- Schowaj to chłopcze - powiedział ojciec Anny do Wojtka.

Myślał o pistolecie, ale wymownie patrzył na jego zmęczoną męskość.

- Mamo... - Kuba, w nowej kurtce, z wypchanym plecakiem wparował do sypialni i znieruchomiał.

Anna zdołała zawinąć się w prześcieradło. Czuła, że płonie jej twarz. Kuba odwrócił się na pięcie i pobiegł do swojego pokoju. Mocno trzasnął drzwiami. Wojtek irytująco powoli wciągał ubranie.

Poszła do łazienki po szlafrok. Spojrzała w lustro zawieszone nad umywalką i nie wiedziała: śmiać się czy płakać.

W końcu przepłukała tylko usta listeryną.

Wojtek konferował o czymś z jej ojcem. Och, to męskie zrozumienie... Ale co miała zrobić z chłopcem?

Szelig skinął jej tylko głową, jakby miał zasznurowane usta i cicho wyszedł z mieszkania.

- Zrobię ci herbaty - powiedziała do ojca.

- Wolałbym kawy.

- A twoje nadciśnienie?

Machnął ręką. Siedział na taborecie w kuchni, w czapce, z jego szyi zwieszał się szalik w okropnym musztardowym kolorze. Nagle Anna zobaczyła, jak jej ojciec będzie wyglądał jako starzec.

- Co się stało? - starała się, aby jej głos brzmiał miękko.

- Kuba się uparł, że chce wracać do ciebie.

- Tak nagle, w środku nocy?

- Masz słodzik? - odepchnął jej pytanie.

- Tak mogłoby się zachować tylko bardzo małe dziecko. A ty jesteś od tego, żeby je powstrzymać... - jej głos zamiast w krzyk przeszedł w szept.

- Ma mnie w garści.

- Więc wyrosnie na egoistę, jak jego ojciec.

- Dajmy temu spokój... Martwię się o swojego wnuka.

Parząc się w język pociągnęła łyk herbaty. Ręce jej drżały.

Czuła się osaczona. Czuła się mała i nieszczęśliwa. Na wyjaśnienie przyjdzie czas rano.

- O tej godzinie nie ma połączeń Łódź - Warszawa - zauważyła.

- Wziąłem taksówkę.

- Oszalałeś.

- Nie chciałem ci zepsuć... - Wiem.

- To przecież twój kolega z pracy, ten Wojtek. - Aha.

- Kiedyś zrobiłaś nam podobny numer. Mnie i matce.

Wywieźliśmy cię do babci na Retkinię. Wieczorem dostałaś hysterii i kazałaś przywieźć się z powrotem...

Chyba nie byłem zadowolony.

- Nie pamiętam. Oddam ci za kurs. Możesz przespać się na leżance w pokoju Kuby? Mogłabym ci rozłożyć fotel w sypialni, ale... - w sypialni pachniało seksem.

- Dogadam się z Kubą.

- Chyba się zatrzasnął na dobre. Jak go znam, to podciągnął pod drzwi komodę.

- Mnie wpuści.

I wpuścił. Anna siedziała w kuchni, dopóki herbata zupełnie nie wystygła, a srebrny świt nie położył się na kuchen-nych kafelkach.

17.

Pietrzak wezwał ją do siebie na dywanik. „Na dywanik”, to za dużo powiedziane. Rozchwiane biurko szefa stało na splekanych płytkach PCV. Przy kaloryferze, gdzie lubił sypiać potężny czarny mieszaniec o imieniu Bruno, podłoga była zryta psimi pazurami, aż do kruszącego się cementu.

- Potrzebuję dwa dni wolnego - stwierdziła, nim Pietrzak zdołał się odwrócić od okna, na którym kurz odgrywał

alternatywną rolę rolet. - Sprawy rodzinne.

- A jeśli odmówię?

Cholera, tego się nie spodziewała. Pietrzak był zasepiony i gdyby ktoś nie wiedział, że jest zagorzałym abstynentem ślubującym alkoholową czystość w kościele (żona zagroziła mu, że albo to zrobi, albo będzie mógł sobie brać butelkę do łóżka), dopatrzyłby się u niego wszystkich objawów kaca.

- Nie wybrałam zaległego urlopu... Podniósł rękę.

- Zawsze możesz iść i oddać krew. Należy ci się wtedy czekolada i dzień wolnego.

Stary był rozeźlony niedawnym strajkiem przewencji, kiedy większość gliniarzy, aby zerwać się z pracy załapała się na

„honorowego”.

- Czekolada chyba nie. Zresztą mam okres.

Łysina Pietrzaka nieznacznie poróżnowiała. Co on by zrobił, gdyby los zamiast synem obdarzył go córką?

- Dwa dni Anno. A po powrocie meldujesz się u mnie.

Rozeszli się zupełnie zapominając o czym tak naprawdę mieli porozmawiać. O czym Pietrzak miał jej powiedzieć.

Kuba wciąż tkwił zamknięty w swoim pokoju. Tkwił i nasłuchiwał, bo Anna zorientowała się, że kiedy parę razy wyszła, jej syn zdołał obrobić lodówkę. Przynajmniej nie siedzi głodny. I nachlapał w łazience. A sikać, cóż, mógł do wazonu.

Czy to już? Czy już wszedł w wiek dojrzewania, a Anna z

„po prostu matki” awansowała na „matkę zbuntowanego nastolatka”? Nie była na to gotowa.

Próbowała mu to i owo wytłumaczyć przez drzwi. Poczula się upokorzona. W dodatku syn nawet się do niej nie odezwał. Złapała się na tym, że boi się o Kubę, ale i jest wściekła. Co on sobie wyobrażał?

- Co ty sobie wyobrażasz? - wrzasnęła do nieruchomej klamki, która śmiała jej się w twarz. - Urodziłam cię, ale przecież sama nie umarłam. - Nagły przebłysk świadomości,

że jest dorosła, powstrzymał ją od kopnięcia we framugę.

- Kuba, ja też mam swoje życie - powiedziała już spokojnie.

Stoję nosem przy zatrzaśniętych drzwiach a tak naprawdę to plecami napieram na ścianę. Co ja mam zrobić? - Znała ten stan. Kiedy Kuba był bardzo mały chodził za nią trop w trop i nie chciał wypuszczać z domu, czepiając się kolan, Anna czuła, że ta dziecięca miłość ją zabije. Być dla kogoś, nawet tak małego i bezbronnego, całym światem przekraczało jej możliwości. Oczywiście w końcu tanto minęło...

Ale teraz delikatnym szuraniem w okolicach skroni dawało znać, że problem nie odszedł w niepamięć. Przerabiała to z własnym ojcem: rodzice uważają, że życie dzieci całkowicie należy do

nich. A teraz czekało ją przepracowanie wersji odwrotnej: jej syn uważał, że wciąż łączy ich srebrzysta pępowina. A jeśli ma rację?

Już niedługo, już niedługo będzie wiosna i nocą usłyszysz krzyk srok, kiedy na ich gniazdo za oknem będą czaiły się koty.

Anna poruszyła się przez sen. Coś brzęknęło, tylko w jej głowie, ale kobieta i tak się obudziła. Ten dźwięk, wewnątrz, przypominał chyba najbardziej dzwonek domofonu. I zawsze, od lat ją budził. Coś zwiastował.

Zebrała się z pościeli i nie czekając, aż myśli ucichną, zaczęła się ubierać. Dobrze umocowała kaburę, ale jeszcze większą uwagę zwróciła na latarkę. W ciemności dawała dobre, mocne światło.

W półmroku, w skarpetkach podeszła do drzwi pokoju syna. Cisza. Sprawdziła, czy dobrze zakręciła gaz i czy wiatr nie otworzy okien. Buty założyła już na korytarzu i bardzo ostrożnie zatrzęsnęła drzwiami.

Na zewnątrz znowu sypał śnieg.

Trochę szła, trochę biegła. Zobaczyła jakiś radiowóz, więc schowała się za załomem muru. Wyciągnęła język sprawdzając, czy śnieg smakuje tak jak dawniej, czyli niczym.

Dość szybko dotarła na barkę. Pachniało tu jeszcze czło-wiekiem i mielonką turystyczną.

Zaklęta siarczyście, kiedy zorientowała się, że nie wzięła ze sobą reklamówki. W kieszeni alaski pałętały jej się tylko niewielkie woreczki na dowody.

Podeszła do legowiska Tomasza Wilka. Męska pelisa wciąż tam leżała. Ostrożnie wzięła ją w rękę. Była lekka -dobra staroświecka robota. Zajrzała na futrzaną podszewkę i znalazła to co spodziewała się znaleźć. Wtuliła twarz w fu-trzany kołnierz: zamiast martwej norki poczuła śmierć człowieka.

„Mózg ma konsystencję marynowanego tofu", Anna nie pamiętała już, gdzie to przeczytała.

Było jasno, poranki przychodziły wcześniej. Mniej ciemności, dla niej i dla innych.

W kostnicy jak zwykle paliły się jarzeniówki. Drzwi na salę sekcyjną były uchylone. Wchodząc słyszała głosy Luizy i Wojtka, ożywione pomimo pory i miejsca. A jednak nie było to dobre miejsce na randkę, prawda? Ani na urlop.

- Cześć - przywitała ich i położyła na wolnym stole wypchaną torbę z Saturna.

Skinęli głowami.

- Jak dzieciak? - zapytał Szelig. - Nadal obrażony?

Ty draniu, nie wygadałeś wszystkiego Luizie? Nie, jej byś nie powiedział...

- Przygotowałaś ubranie Mroczka?

- Wysuszone i rozwieszzone - Luiza przyprowadziła z kanciapy stelaż, na którym zawieszono ciuchy. Marynarka, kamizelka, koszula były rozcięte skalpelem na plecach. Raczej nikt ich już nie założy. Jedyne buty kolebały się w przezroczystym worku.

Anna zaczęła po kolei ściągać ubrania z wieszaków. Rozkładała je jak anatomiczne eksponaty i biegała palcami wzdłuż szwów. Żadnych metek ani przepisów prania. Starannie poobcinane nitki. Zbyt starannie.

- Czego szukasz? - zapytał Wojtek, gdy zaczęła oglądać marynarkę pod światło.

- Dziur od igły, rozpruć, monogramów.

- Wiele osób wycina metki, bo drapią.

- Tak. Ale kto je wszywa?

- Pralnia - powiedziała Luiza.

- Kiedy Kuba był mały, nosił rękawiczki na tasie, żeby ich nie zgubić. Bardzo go to wkurzało.

- Szkoła naszych babek, co? - Dzieciaki w dzierganych czapkach, ortalionowych lub flauszowych

kurtkach, z których rękawów jak dodatkowa para rąk zwisają jednopalcza-ste rękawiczki.

- Moja matka też tak robiła - powiedział Wojtek. - Ciągłe coś gubiłem a nie mieliśmy pieniędzy...

Gdyby mogła przyszyłaby mi i czapkę, i szalik do skóry. A najlepiej przyszyłaby mnie samego do siebie... Byłem małym uciekinierem.

- O to właśnie chodzi - powiedziała Anna. - Kuba zawsze miał w kieszeni kartkę z adresem i swoim imieniem i nazwiskiem. Niektóre matki haftowały coś takiego na pod-szewkach.

- Do czego zmierzasz?

- Kto się może zgubić oprócz dziecka?

- Pies. Dlatego się je czipuje. - Albo?

- Zdziecinniały człowiek - powiedziała Luiza. - Demen-cja, Alzheimer daje charakterystyczny obraz anatomopato-logiczny. Kora mózgowa ma rozlane zwyrodnienia. Nie mam jeszcze mikroskopowych badań mózgu Mrocza.

- A gołym okiem?

- Żaden szanujący się lekarz nie postawi w ten sposób diagnozy. Nawet nie wiesz, jaka to rozpowszechniona choroba, ryle że starcom na ogół nie robi się sekcji. W akcie zgonu wpisujesz udar i po krzyku.

- Można to jakoś leczyć?

- Służbę zdrowia, Wojtku? Pieniędzmi A Alzheimera?

Rozwój tego rodzaju demencji na zachodzie opóźnia się se-legiliną. Nie wiem, czy w Polsce też się ją stosuje. Moim pacjentom i tak by nie pomogła.

Anna wypakowała z torby Saturna pelisę. Do futrzanej podszewki przyszyty był kawałek płótna, to co zostało napisane długopisem prawie do końca się starło. Prawie...

- Laboratorium może spróbować to odczytać - powiedziała Luiza. - Zakładasz, że to też należało do Mrocza?

- Znalazłam ją na barce, tam gdzie nocował Wilk.

- Pelisę może zidentyfikować wdowa, ale dla chłopaka byłby to gwóźdź do trumny.

- Przecież się przyznał - stwierdziła Luiza.

- I o to chodzi - mruknęła Anna. - Ktoś wypruł metki i oznaczenia z ubrań Mrocza. Tego nie zrobił chłopak.

- No, ale pelisa... „wizytówka" została.

- Wizytówka ofiary czy mordercy? - To tylko teoria...

- Czy zdarza ci się dotykać zwłok bez rękawiczek? - zapytała Luizę.

- Nie.

- Nieprawda. Sama widziałam.

- To musiało być jakieś przeoczenie.

- I to też - dotknęła norkowego kołnierza - jest przeoczenie.

- Zabieram ciuchy do laboratorium - powiedział Szelig. - A ty? - zwrócił się do Anny.

- Ja? Ja powinnam udobruchać syna. Ale nie mam czasu.

- Dzieci, co? - Luiza zbierała wieszaki.

Anna już nie słuchała. Wojtek pożegnał się i szybko wyszedł. Tym razem Annie było to na rękę.

- Luizo, czy zwłoki budzą jeszcze w tobie niepokój?

Kobieta roześmiała się.

- Pytasz, czy się ich boję? Studiujesz zaocznie antropologię kulturową czy co?

- Odpowiedz, proszę.

- To tylko ciała. Mięśnie, skóra, kości. Naga prawda. Choć powiem ci czego nie lubię... Nie lubię,

kiedy ludzie każą trupom, śmierci podszywać się pod życie. Patrzyłaś w otwarte trumny? Te garnitury z pralni, te wypastowane buty. Włosy na lakier. Szminki i pudry. Śmierć wygląda tam jak tania dziwka. A nie jest taka. Cała ta maskarada dla żywych, a pod nią nic. Maska jest pusta. Nie znoszę hipokryzji. Te nagie ciała na stołach to moja praca i część natury. Reszta to... - machnęła ręką - wynaturzenie.

Anna kiwnęła głową. Wreszcie zrozumiała.

- Zmarli nie są właścicielami swoich ciał.

18.

Nacisnęła mocno dzwonek a kiedy nikt nie otworzył, zastukała. Na chwilę odpłynęła w myślach, choć w rzeczywistości dryfowała wokół wyznaczonego tematu.

Kiedyś spotykała się z chłopcem, który po wyjeździe rodziców do Austrii, mieszkał z babką. Opiekował się nią. Ta stara Żydówka doskonale radziła sobie z traumą, jaką zafundował jej XX wiek, dopóki nie zmarł jeden z jej sąsiadów. Samotny starzec - znaleziono go po zapachu, wydobywającym się spod drzwi. Długo leżał. Wtedy babka ustaliła z innym, równie starym sąsiadem, że co rano będą pukać sztucami w rurę biegnącą przez ich pion.

Więzienny komunikat: jeszcze tu jestem". Jeszcze tu jesteśmy uwięzieni w życiu. Stara kobieta stuknęła kilkakrotnie na dobę.

Szkolne narzeczeństwo rozeszło się, a Anna myślała, że chłopak jest nieobecny i markotny przez nią. W

rzeczywistości był markotny, bo nieobecna stała się jego babka. Zwierzył się w końcu: nie uwierzysz, ale babcia staje przed lustrem i krzyczy. Krzyczy, że ma dopiero trzydzieści lat, więc czemu lustro pokazuje odbicie staruszki?

Musi zmuszać ją do mycia, a wtedy ona go bije. Musi ją rozbierać do snu. Nosi ubrania warstwami: trzy, cztery spódnice. Sweter na swetrze. I biustonosze - do ramiączek biustonosza przypina inne staniki agrałkami.

Wyciąga garnki, talerze i ustawia je szeregiem na podłodze. Wynosi na korytarz. Sama wychodzi i tylko siłą można przyprowadzić ją z powrotem.

Kiedy pomyliła jego pokój z ubikacją, zadzwonił do matki do Wiednia. Nie minął miesiąc, a Anna dowiedziała się przypadkiem, że na stałe wyjechał z Polski. Z nikim się nie pożegnał, zupełnie jakby się wstydził.

Niszcząca choroba nazywała się Alzheimer, co łatwiej było wymówić w Austrii niż w Polsce.

- Ktoś panią widział - powiedziała spokojnie do drzwi.

Zadziałało jak upiorne „sezame otwórz się”. A wewnątrz...

same skarby?

- Kto?

- Chłopak, który próbował popełnić samobójstwo. Wszystko dokładnie opisał.

Na stole stała szklanka wódki, nakryta pajdą chleba.

Wzrok Barbary Mroczek powędrował za oczami Anny.

- Wspominki - stwierdziła Anna - obiata dla zmarłego.

Stary zwyczaj.

- A więc pani wie...

- Mogła pani oddać książki do biblioteki.

- Jednak nie wie pani wszystkiego.

- Nie. Pracowała pani na onkologii, pewnie wielu rzeczy można dowiedzieć się od lekarzy, nawet jeśli pracuje się w biurze.

- Najwięcej nauczył mnie pies. Miała pani kiedyś psa? -

Nie.

- A ja tak. To było zaraz po wojnie i nie wiem, jak temu kundelkowi udało się przeżyć. Był ze mną wiele lat a ja by-

łam dumna z jego życia. Ale się zestarzał. A kiedy bardzo się zestarzał, to żałowałam, że w czasie

powstania nie skończył w garnku. Rozumie pani?

Anna pokręciła przecząco głową.

- Moczył się i nie mógł trafić w drzwi, ale pomyślałam: kocham go i nie uśpię. Później oślepl. Ogłuchł. Nosił na plecach guz, ale wciąż żył. Czuć mnie było tym psem, ludzie odsuwali się ode mnie w tramwaju...

- W tramwaju?

- W tym samym poznałam swojego męża. W tamtych czasach nie zapraszało się od razu mężczyzny do domu. A kiedy w końcu przyszedł, zobaczył Kniizia i powiedział, że on nigdy nie pozwoliłby mi się tak męczyć. Zerwaliśmy wtedy ze sobą... Po raz pierwszy i ostatni. - Zaczepnęła oddechu. - A Kniaż żył, wciąż żył. I wtedy zaczął szczeakać, wciąż szczeakać. Zasikany kręcił się w kółko i szczeakał, szczeakał, jakby prześladowały go widma. Tylko, że on szczeakał w pustkę. I szczeakał z pustki. Dużo czasu potrzebowałam, nim to zrozumiałam.

- Tak, dużo.

- Czy wiesz, jakie to uczucie, kiedy patrzysz na kogoś, kogo kochasz i myślisz, a czasem nawet mówisz: „No umrzyj wreszcie! Czemu do cholery nie umierasz?!”

- Wiem — powiedziała Anna.

- No to teraz pani wie wszystko.

- Musimy jechać na komendę...

- Wiem. Może kiedy wrócę, wódka spod chleba zdąży już wyparować.

19.

Masywny młody policjant w stroju motocyklowym przypominającym gumową zbroję aż przystanął, kiedy zobaczył, że z pokoju przesłuchań wychodzi zakonnica.

Uśmiechała się do niego.

- Szczęść Boże - przypomniał sobie formułkę wyniesioną z domu. Siostra Angela skinęła mu głową i minęła tak blisko, że poczuł zapach dezodorantu i chyba papierosów.

Później zakonnica zniknęła w pokoju Anny Hwierut.

Uświadomił sobie, że zakonnice nie ulegają pokusie niko-tylizmu - to Hwierutowa ostatnio całkiem jawnie odpalała jednego papierosa od drugiego. Takie wyjaśnienie uspokoiło go. I porządkowało świat. Palącą policjantkę mógł znieść, choć z trudem.

- Gdyby mógł, przykułby się kajdankami do kaloryfera -

powiedziała siostra Angela do Anny.

- Osobliwe. Najczęściej wolni ludzie chcą stąd jak naj-szybciej wyjść.

- On boi się ojca. Jeszcze krok i zacznie go nienawidzić.

- Na razie krzywdzi siebie.

- Wiedział, że kiedy go zwolnią, ojciec będzie już na niego czekał. Wolał zostać „mordercą”.

- A czy ty pamiętasz co przychodziło ci do głowy, kiedy miałaś siedemnaście lat?

- Nie. Aż rok mu został do pełnoletności?

- Prawie. Poszedł wcześniej do szkoły. Zaklasyfikowano go jako wyjątkowo zdolne dziecko.

- Ale to już minęło - Anna postukała w kartonik papierosów.

- Wolno wam tu palić?

- Są miejsca takie jak komendy i szpitale, gdzie ludzie będą palić zawsze. Bez względu na konsekwencje.

- Bez względu na konsekwencje... - powtórzyła za nią siostra Angela. - Umówiłam się z nim, że załatwię mu wizytę u znajomego chirurga urologa. Dostał też adres naszego domu noclegowego i wszystkie telefony. Możemy zrobić dla niego tylko to co robimy dla dziewcząt

- Dobrze, żeby zrobił maturę. Kiedy jest pogrzeb jego matki?

- Pojutrze. Ale ojciec dziś zabiera go do Otwocka.

- Myślisz, że da radę? Że znowu nie ucieknie?

- Nigdy nie wiadomo. Obiecał, że będzie zeznawał w sądzie.

- Ale i tak będzie miał kuratora.

- Czemu nabieram ochoty na papierosa... - Angela skrzywiła usta - albo na ciastko.

Anna popatrzyła na nią poprzez dym. W oczach było pytanie.

- Nie, zakonnice nie muszą powstrzymywać się od jedzenia słodczy. Przynajmniej te szczupłe - Angela poklepała się po szerokich biodrach. - Wiesz, że jeśli chcesz pożegnać się z Wilkiem, to powinnaś zrobić to teraz. Obiecałam, że odwiozę go do ciotki.

Anna broniła się przed uczuciem bezsilności. Z doświadczenia wiedziała, że nie może już temu chłopcu pomóc.

Ona nie była od zbawiania świata. Za często widziała, jak strach zmienia się w przemoc. Zaszczute zwierzę umiera, ale jeśli w porę nie umrze, to samo zabija.

Zakonnica nie próbowała prawić morałów ani częstować frazesami. Na ulicy frazesy były zakazane.

- A ja pamiętam co robiłam, kiedy miałam siedemnaście lat - nawiązała do poprzedniego wątku.

- Co? - Anna zdusiła papierosa w zawalonej popiołem popielniczce.
- Uciekłam. Tylko nie pytaj mnie przed czym. - I co, udało się?
- Tak. Wpadłam wprost w ramiona Chrystusa. Ale on kazał mi z powrotem iść w świat.
- Mogłaś iść do zakonu kontemplacyjnego.
- O, naprawdę?
- Wiem, wiem. Z szefem się nie dyskutuje.

Kobieta była znacznie od niej młodsza, ale Anna nawet nie pokusiłaby się, żeby nazwać ją dziewczyną. Jasne włosy, w zasadzie mysie, uplecione we francuski warkocz, mocno ściśnięte i odgarnięte od skroni. Beżowy sweterek, czarna spódnica kończąca się wpół kolan. Grube rajstopy, buty na obowiązkowo płaskim obcasie. Mała brązowa torba ze skaju. Zapach talku, który jakimś cudem przenikał nawet przez dym. Na palcach ani długich, ani krótkich złota obrączka... Bardzo błyszcząca. Kobieta mówiąc co i rusz przesuwała prawą ręką po spódnicy polerując metal. Była zakłopotana, ale ze sposobu jak przygryza usta, Anna wywnioskowała, że jest i zła. Tyle, że ta złość stanowiła tajemnicę nawet dla niej samej.

- Chciałabym zgłosić doniesienie. Ktoś mnie prześladowuje.

- Jak?
- W Internecie.
- Ubliża pani, pokazuje intymne zdjęcia? Kobieta gwałtownie zamachała rękami.
- To chyba nie jest mężczyzna. A ja boję się o swoje dziecko. Ta osoba dużo o mnie wie... Więcej niż napisałam...

- A gdzie pani napisała?

- W portalu Nasza-klasa.

- Interweniowała pani u nich?

- Nie mogą mi pomóc, jeśli nie włączy się w to policja.

- A pani mąż?

- On nic nie wie!

- Tamta osoba, jak ona panią prześladowuje?

- Napisała, że jestem najpiękniejsza, a później, że nie wyglądam na szczęśliwą. To znaczy wtedy myślałam, że to mężczyzna. Taki chłopak, z którym chodziłam na SKS. Napisałam... - pauza - że może się nie myli. I że może - błysk obrączki - powinniśmy się spotkać. A potem przyszedł list:

„Teraz będę mogła pokazać ten mail twojemu mężowi.

Niech zobaczy, jaką ma żonę. Wierna do bólu, co?

Współczuję mu”.

- Na razie nie wiem, jak mogę pomóc.

- On, ona napisała, że „nie wyglądam na szczęśliwą”. Gdzie mnie mogła widzieć?! A ostatnio przyszła wiadomość, że mam wspaniałą córeczkę. Ja nie mówiłam jej, jemu, że mam dziecko.

- Rozumiem, że pani się boi. Ale — Anna szukała słów

-...dla policji to za mało.

- Za mało? A jeśli w końcu będzie za dużo? - Zdjęła torbę z oparcia i podniosła się z krzesła.

- Proszę, niech pani jeszcze nie idzie. Porozmawiajmy...

Kawy? Herbaty?

- Ja, ja uprawiałam z tym kimś, z tą osobą, wirtualny seks.

Pozwoliłam sobie na za wiele. To mnie niszczy.

Anna wyciągnęła kwestionariusz.

- Spiszmy to. Pani adres, zawód? Zawód pani męża?

Kobieta podniosła się i wyciągnęła dłoń na pożegnanie.

- Przepraszam. Niepotrzebnie przyszedłam. Pewnie jak zwykle przesadzam... - wyraźnie chciała już uciec.

- Musi mi pani chociaż zostawić numer telefonu. - Kobieta cofnęła się od progu i z lekkim wahaniem podeszła do biurka Anny, położyła przed nią wizytówkę. Anna Tomczuk, florystka, numer, e-mail. Jest też adres kwiaciarni. „Świadczymy usługi poczty kwiatowej”.

- Niech pani to sobie jeszcze raz przemyśli - Anna Hwierut zrewanżowała się swoją komórką. - Na pewno coś da się zrobić. Każdy czasem czuje się samotny - frazes z jej ust wy-leciał łatwo jak dym.

Znowu musiała zapalić. Miała na głowie Kubę. A później, po piątym papierosie (tak odliczała dzień) uświadomiła sobie, że Anna Tomczuk też boi się o córkę. Anna i Anna -

podobno czujemy jakąś nieokreśloną więź z naszymi imiennikami. Psychologiczna dziecinada? Cóż, Anna Hwierut nie lubiła takich kobiet jak dzisiejszy gość.

Dlaczego? Tego też nie pamiętała, ale kołatało jej się jedno: policjant nie powinien mieć płci.

Wykręciła numer telefonu florystki. „Abonent jest poza zasięgiem albo ma wyłączony telefon”. Ok, spróbuję później, a tak w ogóle to o co chodzi z tym całym Internetem?

Ale nie spróbowała, bo coś się wydarzyło.

Tylko śmierć jest nieśmiertelna, pomyślała Anna. No i jej dziecko, Kuba, on zawsze będzie jej życiem.

W mieszkaniu było gorąco i duszno. Mogło to oznaczać, że mały buntownik opuścił swoje schronienie. Chciała, żeby tak było. Zdziwiona rzuciła okiem na drzwi pokoju syna -

wisiał na nich tekturowy szkielet. Widziała go po raz pierwszy, zajął miejsce plakatu z Kubusiem Puchatkiem.

W końcu mogła się spodziewać, że coś takiego nastąpi. Chłopak dorastał i szukał autonomii. Zamiast kościotrupa mógł

powiesić znaczek radioaktywności albo nawet portret Mao.

Kuba siedział przy kuchennym stole i jadł omlet. Spostrzegła porzucone na blacie skorupki. Oczywiście, jedzenie było tylko kamuflażem, jej syn czekał na nią.

- Za dużo palisz - powiedział, kiedy nalewała wodę do czajnika - w ogóle nie powinnaś palić.

- Wiem.

- Nie powinnaś palić ze względu na chorobę babci. Dziadek przecież rzucił.

Ojciec strasznie dużo palił. W jego papierosach filtry tworzyła zrolowana bibułka. Anna lubiła wybierać pety z przepelnionej popielnicy i rozwijać ustniki. Wyglądały jak wstążki. Robiąc to czuła się jakby mocniej związana z ojcem, bo oczywiście nie mogła z nim zapalić. Matkę to wkurzało.

- Co u dziadka?

- Dzwonił i pytał, czy tamten facet to dla ciebie coś poważnego.

- Do ciebie dzwonił?

- A dlaczego nie? Powiedziałem, że nie wiem. I że na razie nie ciągasz nas trójką do kina albo McDonalda - skrzywił się.

- Wiesz coś o tym? - W jej szkole hasła takie jak „rozwód”

czy „ojczym” budziły sensację. W klasie Kuby większość dzieci pochodziła z rozbitych rodzin, co nie znaczy, że wszystkie konflikty usychały nim zdążyły się narodzić.

- Nie potrzebuję ojca. Ani biologicznego, ani żadnego innego.

- Ja chyba też mam jakieś zdanie...

- Tak, dziadek powiedział, że dorosła kobieta ma swoje potrzeby. I żebym to zaakceptował.

Dzięki tato, pomyślała i powiedziała głośno:

- Ale żadnych McDonalldów i Happy Mealów?

- Właśnie.

Mieszkam z miniaturą hipokryty. Poczwała złość.

- Przestańcie obgadywać z dziadkiem moje życie osobiste!

- Nie awanturuj się, mamó. Wzięła głęboki oddech.

- Po powrocie z Łodzi miałeś mi powiedzieć, dlaczego pobiłeś się z kolegą. Poszło o twojego biologicznego ojca?

- Powiedział, że sama nie wiesz kto nim był. Musiałem cię bronić.

Pokiwała głową.

- Powiedział, że „ojca” przynieśli mi w pipecie. Szklanej pipecie - zaznaczył z namaszczeniem.

- Słuchaj, nie chcesz być owocem „banku spermy”, ale jednocześnie ojca też nie chcesz mieć. Nie

widzisz w tym braku logiki?

- Gdyby ludzie zachowywali się logicznie, to sprzedawałybyś prażone migdały na Nowym Świecie.
- Migdały w cukrze. Już ich nie ma.
- Bo jest zima, mamó.

Nie będę się kłócić, postanowiła. Inaczej Kuba znowu zamknie się przede mną. W jego wieku musiałam być taka sama. - Ten kościotrup to prezent od dziadka?

- Nie. Dziadek dał mi kozik.
- Kozik?
- Nóż. Dziadek ma taki sam, tylko dużo większy.
- Pokaż mi go.

Pobiegł do swojego pokoju. Jej ojciec kolekcjonował noże.

Uznawała to za skrzywienie zawodowe. Noże i osełki.

Wszystkie ostrza były ostre jak brzytwa. To, które przyniósł Kuba, lekko wygięte i osadzone w kościanej ręczce. Nie, to zdecydowanie nie była zabawka. Stary dureń!

- Zdajesz sobie sprawę - powiedziała siląc się na spokój -

że jeśli w ulicznej bójce ktoś wyciągnie nóż, to jedna ze stron prawie zawsze kończy na intensywnej terapii albo w kostnicy? - Jej pierwsza sprawa... Pierwsze trupy... Anatomia nożowników. Anatomia noży.

- Przecież dziadek nie dał mi tego, żebym się bił! To ma być początek kolekcji.

Wspaniale! Anna wyobraziła sobie co powiedziałyby dyrektor szkoły, gdyby Kuba postanowił się „czymś takim”

pochwalić na przerwie. I jakby zareagowała dzieciarnia.

- Wiesz mamó, to może przydać się do obrony własnej.
- Kuba, lepiej się zamknij.

Wiedziała jak ojciec wyobrażał sobie „obronę własną”.

Przecież ją tego uczył. Pamiętaj, mówił, w pewnym momencie liczysz się tylko ty. Nie lituj się nad napastnikiem, bo on raczej nie poczuje litości do ciebie.

Rób swoje. Wyeliminuj go. Najgroźniejsze są ranne zwierzęta. Jeśli masz strzelać, to strzelaj celnie. Raz, a dobrze.

Zapytała go wtedy, czy zdaje sobie sprawę, że w policyjnym regulaminie istnieje coś takiego jak strzał ostrzegawczy. Że jeśli trzeba namierzyć uzbrojony cel, to strzela się drugim nabojem w bark ręki, która trzyma broń.

- Nie mówię ci tego jako policjant - stwierdził.
- Więc jako kto? - zapytała.
- Jako ojciec.

Po krótkiej wędrówce wstecz powróciła do kuchni.

- Rekwiruję ten nóż. Bo to nie jest kozik grzybiarza, tylko nóż. Dostaniesz go z powrotem, jak będziesz starszy.

- To prezent. Nie wolno ci!
- Chcesz się przekonać?

Jak oparzony zerwał się od stołu. Trzasnął drzwiami.

Szkielet na sznurku zaczął przeraźliwie podrygiwać w swo-istym dance macabre.

I znowu go straciłam, pomyślała Anna o synu.

Później zaczęła się rozglądać po mieszkaniu, sondując miejsce najbardziej odpowiednie do

ukrycia noża. Nie miała wątpliwości, że gdy tylko wyjdzie do roboty, chłopak wychynie z jamy i będzie go szukał. Miejsce musi być dobre, a nie oczywiste. Dziewicze.

Zdjęła buty i na palcach, cichutko, przeszła do przedpokoju. Na komodzie, która nie zmieściła się w pokoju, stał

ogromny szeroki wazon z kompozycją suszonych kwiatów.

To właśnie dobre miejsce.

Walter. Jej służbowy pistolet. Przyjaciel jej ręki. Ten kon-kretny egzemplarz podczas strzelania lekko ciął w lewo.

Broń nie rewelacyjna, ale i nie wydumana. Prozaiczny walter. Nikogo z niej jeszcze nie zabiła. I jak większość policjantów miała nadzieję, że nigdy to nie nastąpi. Swoje frustracje można rozładowywać na strzelnicy. Oczywiście pod warunkiem, że ma się pieniądze na własne naboje.

Policjanci, szczególnie ci starsi, generalnie za mało tre-nują. Zamiast zarywać godziny i strzelać do tarczy, wolą siedzieć przed telewizorem przy piwie. Albo spędzać czas z dziećmi, jak Anna.

Fakt, że dość dobrze strzela zawdzięcza ojcu. Jego cierpli-wości i jej mordędzie, jego zdecydowaniu i jej pokorze.

„Jeśli będziesz musiała strzelać, to strzelaj”. Więc w końcu strzeliła i raniła człowieka. To, że był złodziejem samochodów, po pewnym czasie spadło na drugie miejsce.

Pistolek to wygodna broń, jak mówią w żargonie: „nie-kontaktowa”. Łatwiej popełnić morderstwo strzelając, niż dusząc czy dźgając nożem. Wbijanie ostrza w ciało to rzecz intymna i dla mordercy, i dla ofiary.

„Nie możesz się bać pistoletu, Anno. - Nie boję się. - To dobrze. Ale, z drugiej strony, nie może cię ponieść”. Zrozumiała, kiedy po raz pierwszy dał jej broń do ręki. Nim wzięła go w palce poczuła intensywny zapach smaru, który podrażniał jej nozdrza. I ciężar, to ten ciężar najbardziej drażnił coś tak ulotnego jak umysł. W końcu jednak wypracowała w sobie obojętność do służbowego waltera.

Do jakiegokolwiek pistoletu.

Ale przecież nigdy nie uczyła tego syna. I ojcu też nie pozwoli szkolić wnuka. Nie. Nie. Nie. Będzie go trzymać poza światem śmierdzącym smarem. Jednak... Krzywda już się stała.

Choć zawsze zachowywała środki bezpieczeństwa, dodat-kowo postanowiła, że broń po skończeniu służby będzie zostawiać na komendzie. Ojciec by ją za to zwymyślał.

Różnie pojmowali przemoc. Różnie pojmowali rodzicielstwo. Nie zwykła jednak łamać postanowień złożonych odbiciu w lustrze i zatraskiwała broń w dolnej szufladzie biurka; tam gdzie trzymała Noc szybko nadchodzi.

21.

„Kto ma szczęście w kartach, nie ma szczęścia w miłości”.

Uśmiechnął się do niego przypadek. Albo anioł. Ustami, które nigdy nie nabrały oddechu. Myśl, żeby śledzić policjantkę nadeszła nagle, z powietrza. I zagnieździła się na dobre. Nastawił się na długie czekanie. Poszedł do pierwszego lepszego lumpeksu na Pradze Północ i kupił

wytarty płaszcz. Sprzedawczynie nie zwróciły uwagi na to, że przyszedł w samym swetrze; patrzyły tylko, czy niczego nie próbuje ukraść. I o to mu chodziło. Dlatego nie wybrał innego sklepu. Miał pieniądze. Długo wcześniej nosił je schowane w bucie, a kiedy w końcu po niego przyszli, zabrali mu na

„dołku” sznurowadła, ale nic więcej.

Po namyśle dokupił rękawiczki. I czapkę.

Przeszedł się po Parku Skaryszewskim, oglądając martwe rozarium. Pozornie martwe. Ludzie nie znają się ani na życiu, ani na śmierci. Był głodny, kupił bajgla. Nie smakował mu, więc podzielił się z gołębiem.

Wiedział, że komenda otwiera się na parking i że nie ma tam dobrego miejsca do obserwacji. Możliwe, że będzie musiał kupić wiele płaszczy innych ludzi. Wiele tożsamości. Życie linieje, a on jego resztki musi wkładać na grzbiet... Nastawił się na codzienne spacerowanie o różnych porach, a wtedy los się uśmiechnął i policjantka opuściła komendę. „Anna”, ułożył wargi w jej imię. „Anna”, zwrócił się do niej.

Fortuna kołem się toczy. Wsiadła do samochodu i odjechała... Idiota z niego, dlaczego założył, że skoro pracuje w tym rewirze, to będzie w nim mieszkać? Nie kala się przecież własnego gniazda. Więc gdzie gniazdowała?

„Słońce świeci dla głupców”. Następnego dnia czatował od wczesnego ranka, ale zielone uno nie przyjechało. Wrócił

wieczorem, samochodu wciąż nie było, ale Anna Hwierut wyszła z komendy. Widać wcześniej ją przeoczył. Dobry Boże. Dobry Aniele. Niezależnie od koloru duszy wszyscy mamy tego samego Boga.

Postawiła kołnierz swojej kurtki i ruszyła przed siebie.

Swobodnie szedł za nią. Miała obie ręce wbite w kieszenie.

On swoje chciał rozłożyć i krzyczeć z radości: Jestem kró-lem tego świata! Pokłuczyła po Saskiej Kępie. Ze straganu wybrała na chybił trafił zmarzniętą kapustę. Będzie gorzka. Jego żona nigdy nie pozwoliłaby sobie na taki błąd.

Zatrzymał się i pozwolił Annie zniknąć w klatce schodowej bloku. Później poszedł, niczym pies tropiący, po jej śladach. Domofon nie miał nazwisk. Było zdecydowanie za późno na pocztę, ale na kuriera? Wcisnął pierwszy z brzegu przycisk.

- Co? Kto tam? - zapytał zmęczony głos.

- Kurier. Nie ma adresata, awizo chciałem zostawić.

Drzwi puściły. Podziękował grzecznie i wszedł do środka.

Gdzieś na górze trzasnął zamek. Ciekawe dlaczego? My-

ślenie skracало jego czas, ale przecież i tak miał go całe morze. Uwielbiał sól. Kiedy był chłopcem, z lubością oblizywał swoje długie, piękne palce.

Zerknął na listę lokatorów i już wiedział, gdzie szukać Anny. Spojrzał w górę szacując, czy sięgnie do żarówki.

Tak, był wysoki, A jeśli się oparzy? Trudno. Jego dłonie i tak nie były w dobrej formie. Zesztywniały od zimna.

Zjadł kebab. Pojechał do kina. Usnął na filmie. Wrócił pod dom Anny. Wcześniej policzył okna, przypisując je do mieszkań. W to też się bawił, kiedy był chłopcem. Tu mieszka ten, a tu tamten. Koledzy z klasy, koleżanki.

Cycata z konserwatorium, która smagnęła go przez twarz, kiedy się za długo gapił... W ciemne okna mógł gapić się do woli. Cofnął się o krok. Ludzie na ogół już spali, ale nie ona. U niej paliło się światło. Tym razem nie była to kwestia szczęścia. Z przesłuchań pamiętał jej podkrążone oczy. Policjantka cierpi na bezsenność.

Szykując sobie nocleg zastanawiał się, czy ona już wie?

Komenda opustoszała. To jednak nie był żaden poważny strajk. Część funkcjonariuszy wzięła zaległe urlopy, część poszła oddać krew. Część wróci tu po południu, część nie...

Na Wólkę Węglową z Pragi Południe było daleko, nawet latem. Tym bardziej zimą, która nie mogła się zdecydować: prószyć śniegiem czy nie? Wólka Węglowa miała cmentarz. Jego mur ciągnął się na odległość trzech przystanków. Wewnątrz krzyżowały się ślady piechurów żałobników. Cmentarz organizował wycieczki do krematorium. Owszem, był

duży, ale przecież nie miał nieograniczonych możliwości. A śmierć miała. „Skremuj się i zaoszczędź środowisko naturalne”. „Zaoszczędź nasze miejsce”. Slogany trudne w kraju, gdzie dymiły kominy Auschwitz i gdzie wciąż kultywowano relikwie. Wodę z Lourdes. Krawat po dziadku. Nitkę, która podobno miała należeć do habitu Ojca Pio. Bilet z pielgrzymki do grobu „Naszego Papieża”.

Kremacja to jakby druga śmierć, powiedział ktoś Annie.

Anna uważała, że śmierci nie da się zdublować. Jak jest, to jest. Jak nie ma, to nie. A jednak nie chciała oglądać dwóch

trumien (albo urn) samobójcy policjanta i jego córki.

Pochowają go pod murem? Dziewczynkę też? Dzięki ci Panie za cmentarze komunalne.

Anna nie chciała iść i patrzeć na policjantkę w siódmym miesiącu ciąży. O czym wdowa mogłaby myśleć? O tym, kiedy ostatni raz się uśmiechnęła? O tym, czy w ogóle jeszcze będzie to możliwe? Będzie, jak tylko pogrobowiec przyjdzie na świat „Pogrobowiec” i „nekropolia” - słowa jak z podręcznika do historii. I one zdążą oniemieć. Jak głos starożytnych Egipcjan. Wólka Węglowa to nie Dolina Królów. Ale pewnie właśnie ona zostanie: cmentarze i reklamówki.

Tego typu świadomość Anna kryła głęboko w sobie, podobnie jak slogan, że policjanci muszą trzymać się razem, niczym w grze w „policjantów i złodziei”. Mimo wszystko.

Pomimo eksplozji chemicznej w mózgu, depresji w sercu.

Zła i Dobra. Gliniarze pojechali na pogrzeb gliniarza, z którego tabloidy zrobiły okrutnego mordercę... Oddali swoją krew do probówek, żeby zyskać wolny dzień. Tym na samej górze ów pogrzeb z listą obecności nie był w smak.

Życie potrafi być gorzkie jak żółć, ale i tak się żyje.

Gram w „policjantów i złodziei”, pomyślała Anna. I jestem duża.

Dla Kubu.

Romyślania przerwał jej Szelig, Kędzierzawą głowę Wojtka ujrzała w drzwiach. Starał się uśmiechnąć, ale mu nie wyszło. Radość to coś co tracimy w pierwszej kolejności, zaraz po mlecznych zębach.

- Czy pogrzeb już się skończył? - Nie.

Zamknął za sobą drzwi. Cicho.

- Lepiej je otwórz, bo cię oskarżę o molestowanie.

Te słowa do cna starły uśmiech z jego twarzy. Ale i tak starał się obrócić wszystko w żart. Lepsze to niż miałby być wściekły. Każda kobieta kiedyś czuła się zagrożona przez mężczyznę. Jeżeli tylko dostają kosza...

- Nie mam szans na romantyczną randkę?

- Nie masz szans nawet na szklanek wody.

Eros i Tanatos, seks i śmierć, nie trzeba było być Freu-dem, by połączyć je w parę. W noc po

pogrzebie matki ojciec Anny płakał w małżeńskiej sypialni. Płakał i jęczał.

- Pietrzak mówił, że jeszcze nie wiesz...

- O czym? - Anna odchyliła się na obrotowym krześle, aż zaskrzypiało.

Szelig wyglądał na zakłopotanego.

- Nie powinnaś być teraz sama.

- Ale i nie z tobą - powiedziała stanowczo. - Mój syn traktuje mnie jak Czarną Mańkę.

- Możesz mieć większe kłopoty. Samouwolnienie... - Co?

- Wieńkowski uciekł. Fotel zaskrzypiał głośniej.

- Jak?

- Z sądu. Okienkiem w toalecie.

Stary sposób, zupełnie jak kawał z brodą. Wciąż skuteczny.

Anna знаła zabezpieczenia polskich sądów. Prześwietła ci torebkę, ale nikt nie zadba o to, by zakratować okna.

- Czekał na orzeczenie o internacji. W zasadzie to sąd zdecydował o przymusowym leczeniu, a przedstawiciel Krajowej Komisji Psychiatrycznej miał ogłosić, do jakiego szpitala przydzielono Wieńkowskiego.

- I gdzie on by był, gdyby był? - Ściągnęła usta. Małe zmarszczki mimiczne pojawiły się wokół warg. - W

Rybniku.

- Na podstawowym?

- Nie. Na oddziale wzmocnionego zabezpieczenia. - Mur, monitoring, służy. Dwóch sanitariuszy na jednego pacjenta.

- A ja myślę, że on tylko jedzie na wariata".

- Lekarze zdecydowali jak zdecydowali. Cokolwiek warte było ich orzeczenie, Pietrzak myśli, że on może się mścić.

- Na kim?

- Na teściach. Na tobie.

- To rzeczywiście musiałyby być zdrowo kopnięty.

Przestępcy prawie nigdy nie tykali policjantów ani ich rodzin. To nawet dla nich było zbyt duże bagno.

- A jeśli?

- Dajcie spokój. I ty, i Pietrzak. Już go nie zobaczymy, chyba że na granicy.

Szelig swoim zwyczajem przysiadł na brzegu jej biurka.

- W dzieciństwie był hospitalizowany. Nocne moczenia, nerwica natręctw.

- Wylądował w domu dziecka?!

- Dlatego tak mało o nim wiemy. Skrzyp - skrzyp.

- Nie zauważyłaś, że jest coś na rzeczy?

- Gdzie?

- Że jest coś pomiędzy tobą, a nim? - Co?!

- Popisywał się. Pamiętasz wizję lokalną? Ciebie wybrał.

- Bzdury. Wszyscy oni się popisują.

- Powinnaś na niego uważać.

- Dlaczego tak sądzisz? Bo dłużej na mnie patrzył?

- Podpowiada mi to intuicja.

- Mężczyźni nie mają nic takiego.

- Policjanci maja.

23.

Weszła do łazienki. Spojrzała wprost przed siebie.

Uśmiechnęła się do lustra.

Lustro było jej pierwszą zdobyczą na komendzie. Starym policjantom ani kobietom, które pracowały w papierach nie przyszło do głowy, że w damskiej toalecie powinno być lustro. Skoro policja się feminizuje, burknął Pietrzak i kazał zamontować. Sam go nigdy nie widział, jakby kafelki damskiej toalety rozgrzewały podeszwy jego butów.

Witaj, lustro. Lekko już śniedziało, a od górnego rogu spływało w dół pęknięcie. Ale nie kłamało. Anna zawsze wyglądała na swój wiek, chyba że, tak jak dzisiaj, wyglądała starzej. Wcale jej się to nie podobało.

Wolałaby podsłuchać kolegów syna mówiących: ta twoja mama to niezła laska. Zamiast: ta twoja mama to policjantka. Czy Pietrzak się tego obawiał?

Martwiła się, że Kuba nie jest zbyt towarzyski (nie ma kolegów, chciałaś powiedzieć) i odziedziczył to po niej.

Zaraz, zaraz. Ona ma chyba jedną taką, jeśli nie przyjaciółkę, to przynajmniej można się z nią napić herbaty. Na herbatę miała teraz ochotę.

Długo szukała miejsca parkingowego przy Złotyach Tara-sach. Wparowała do środka, do perfumerii. Kupiła pomadkę — zbyt czerwoną, by kiedykolwiek jej użyć.

— Jest bardzo trwała - powiedziała obsługująca ją dziewczyna. — Nie zostawia śladu na filiżankach. - Uśmiechnęła się i mrugnęła okiem.

Dobrze, a więc oceniła mnie jako kogoś, kto może sobie jeszcze znaleźć kochanka. Bardziej niż ze szminki ucieszyła się z próbki kremu. Odszukała swój samochód, wkurzyła się na kierowcę, który prawie ją przyblokował, a w końcu, kiedy adrenalina miło krążyła po jej żyłach, ruszyła dalej.

Później była krew na świeżo położonych, lśniących to-rach.

Tramwaje stały rzędem, tuż przy placu Zawiszy, jak porzucone odwłoki owadów. I będą tak trwały, dopóki tech-niczni z dochodzeniówki nie zrobią swojego. Radiowozy stały w milczeniu, ale światła obracających się niemo kogutów migały coraz intensywniej na tle zapadającej ciemności. Ktoś popełnił spektakularne samobójstwo i wielkie miasto przynajmniej raz o tym kimś usłyszy.

Wolałaby docisnąć pedał gazu, zamiast zza szyby pozdrawiać kolegów z pracy. Jaki jest kolor najbardziej kontrastowy do czerwieni?

Dzwonek tkwił ukryty w wiecznie zielonym żywopłocie. Po chwili jakaś młoda zakonnica wyszła i otworzyła furtkę.

Przeszły przez świetlicę, gdzie grupa świeckich, a nawet bardzo świeckich dziewczyn tłoczyła się przed telewizorem. Młode kozy. Wymyte, bez makijażu, nie wyglądały na dzieci ulicy. Miały czas, żeby wrócić i się szybko zestarzeć, ale miały też czas, żeby skończyć z prostytutką. Ten czas dawała im siostra Angela.

Pulchna zakonnica siedziała w swoim zagraconym gabineciku i z grymasem przeglądała papiery.

- Wpadłam na herbatę - powiedziała Anna.

- Dorzucę ciasteczka, jeśli zostaniesz dłużej - Angela z westchnieniem ulgi odłożyła skoroszyty. Dobry jest każdy powód, żeby odłożyć robotę, której się nie lubi.

- Nie będę ci przeszkadzać.

- Dziewczyny grzecznie tkwią przed telewizorem. Czekają na powtórkę Kryminalnych.

Anna uniosła kąciki ust. Coś takiego, świat się kończy!

Prostytutki zafascynowane obliczem polskiej policji.

- Zgadnij kogo najbardziej lubią?
- Zakościelnego? To znaczy podkomisarza Marka Brodeckiego?
- Nie. Tę małą z kiteczkami. Bardzo lubi słodycze... I jest skryta. A ty?
- Co ja?

Nieokreślony gest pulchną dłonią. — Ja tego nie oglądam.

- A powinnaś.
- Żeby żałować, że zostałam policjantką, a nie aktorką?

Dobra, lubię Karolaka.

Zakonnica włączyła elektryczny czajnik, który stał na oknie. Prezent od kogoś. Do niedawna stał tam fajansowy kubek i węgierska grzałka.

- Nie lubisz plotkować, więc o co chodzi?

Anna klapnęła na krzesło, przygotowane jakby dla petenta.

- Nie radzę sobie. Opowiedziała Angeli wszystko.- Mam twarde tyłek - kontynuowała - ale to nie znaczy, że na każdym kroku chcę sprawdzać jak bardzo.

Zakonnica niczym wiewiórka wgryzła się jedykami w ciasteczko.

- „Błogosław życie w całości” - zacytowała. - SzeF?

- Nie. Dostojewski.

- Że wolno wam to czytać...

Siostra Angela się roześmiała. Wyciągnęła z biurka książkę. Była po włosku.

- „Moim towarzyszem jest ciemność”.

- Dostojewski?

- Matka Teresa.

- Ta z Kalkuty? - Tak.

- No to mam przerabane na całej linii - Anna klasnęła dłońmi o kolana.

- Nie zachowuj się jak facet. Nie tutaj. Jednego nam wystarczy - z lekkim uśmiechem spojrzała wymownie na wiszący krucyfiks. - No, głowa do góry. „Niebo wygląda jak puste miejsce”.

- Co?

- Niebo wygląda jak puste miejsce. Czasami, dla każde go.

- I co wtedy?

- Ziemia. Rachunki za prąd, kłopoty z dziećmi, zimny pokój. Szczególnie jeśli ogrzewa się prądem..

- Co siostra próbuje mi powiedzieć?

- To co SzeF powiedział do Teresy z Kalkuty: „Twój strach mnie rani”.

- Nie. Nie boję się. Zakonnica jej prawie przerwała.

- A małemu kup psa. I umów się z Szeligiem.

- Broń Boże!

- „Szczęść Boże”, a ja odpowiadam: Teraz i na wieki wieków. Jeszcze ciasteczko? Lepszych nie mieli nawet w Jero-zolimie.

- Ile ci brakuje do tego rachunku?

- Wiosna idzie. Ale przyzwyczałam się do herbaty „z parapetu”.

Śmiech dwóch kobiet brzmiał dziwnie w tym miejscu.

Wróciła do domu, zapaliła światło w pustej sypialni. Kuba pewnie już spał - obrażony i cichy jak mysz pod miotłą.

Ku-

pić myszy psa?

Jej postać niewyraźnie odbijała się w okiennej szybie. W domach naprzeciw widziała błękitne widma telewizorów.

Choinki już zniknęły, może igła świerku wbiła się w dywan, drobina brokatu ze stłuczonej bombki wpadła pomiędzy deski podłogi? Nie, przecież teraz układa się panele, a panele wchodzą na styk.

Gdyby zgasiła lampę, mogłaby swobodnie obserwować, jak fasada sąsiedniego bloku ciemnieje. Z wyjątkiem jednego okna, które jarzy się co noc aż do świtu. Pracownik agencji reklamowej, cierpiący na bezsenność? A może kolejny glina w tym dziwnym stanie, w którym zmęczenie płoszy sen? Czemu założyła, że to mężczyzna? Bo kobieta musi wstać rano, silna, żeby zrobić kanapki dzieciom do szkoły i załadować pralkę? Ojciec Anny robił jej doskonałe szkolne śniadania, tylko pakował je beznadziejnie. W papier maszynowy, wyniesiony za pazuchą z komendy. Możliwe, że ten papier pachniał jak proch albo smar do czyszczenia broni. Wspomnienia, nieco inne z każdym powrotem myśli, zastawiają na nas pułapki. Dzisiejszy dzień też był wspomnieniem i dlatego Anna nie gasiła światła.

„Noc, ta noc jest pełna tortur,

Tortur,

Tortur.”

Jak w chórze kościelnym wznosił się głos Nosowskiej. I koił. Proch i kadzidło.

Możliwe, że jednak kupi Kubie psa. W końcu sama zawsze chciała...

Za oknem komendy wyjąć syreną przejechała karetka po-gotowia. Anna nie zwróciła na nią żadnej uwagi. Jadła słodką bułkę na śniadanie, a połamany lukier spadał na druk.

- Smacznego - powiedział Pietrzak.

Proszę, proszę, kolejne nawiedzenie... Zaczęła ciążyć jej ta dyskretna opieka kolegów.

- Przeczytałaś już dzisiejszą gazetę?

- Chce pan pożyczyć?

- Zdążyłem tylko zerknąć. Żona mi zabrała.

Namiętnością żony Pietrzaka było przeglądanie nekrologów. A szczególną satysfakcję przynosiło jej weekendowe wydanie „Wyborczej”: to gdzie informacje o pogrzebach sąsiadują ze zdjęciami noworodków. Aż się chciało krzyknąć: oto Życie! Policjanci bywają dziwakami, a ich rodziny albo rozpadają się, albo zamieniają w Adams Family.

- Rekin rafowy urodził się w oceanarium w Blue City. Ma trzy dni, a już poluje.

- No, no. Bystry chłopak.

- Nie napisali, czy to chłopak czy dziewczynka. Sama sprawdź.

- A co szef obstawia?

- Wolałbym nie odpowiadać. Trzymasz się jakoś?

- Dopóki nie mam rekina rafowego w wannie... - ani nawet karpia.

- Jest taka teoria - Pietrzak szukał swoich nieistniejących włosów - że psychopaci są jak rekiny.

Rekin musi ciągle pływać, inaczej umrze. Taka konstrukcja. Psychopata...

- Wieńkowski nie jest psychopatą.

- Możliwe... W każdym razie jakbyś chciała pogadać albo...

Anna zaszeleściła gazetą. Tytuł: „Drapieżnik od urodzenia”.

- Szeffie, a dlaczego ten rekin rafowy ma łapy?

- Złudzenie optyczne. To płetwy, dziecko. To muszą być płetwy.

- Oby...

„Wyklął się rekin”. „Drapieżnik od urodzenia”.

„Ma trzy dni, 20 cm i już dziś będzie polował na ryby”.

Brakuje mi tlenu, pomyślała Anna. Muszę wyjść i prze-wietrzyć głowę. Z zawalonego biurka zabrała paczkę papierosów. Gazeta zsuwała się z przepelnionego kosza na śmieci. Co jest, czy sprzątaczkę już nie pracują? Zapomniała, że oba klucze (swoją i zapasowy) nosi w kieszeni kurtki.

Wsiadła do uno i pojechała w kierunku Okęcia. A później dalej. Poza tablicę z napisem „Warszawa”. Poza schronisko dla zwierząt na Paluchu. Jeszcze nie teraz - bała się tej wizyty. Sieroty są jak zagubione, porzucone psy. Robią tylko mniej hałasu. Szczekanie czy słowa „zabierz mnie stąd; będę grzeczny”: nie wiadomo co bardziej kręci w głowie. I te straty, permanentne straty, tu i tam.

Dom dziecka, bidul, sierociniec. Zawsze na uboczu. Dzieci zza zakrętu. Widywała takie od małego, od czasów, kiedy miała i mamę, i tatę. W jej okolicy też zbudowano dom dziecka. Właściwie to zasiedlono sierotami przedwojenny dom letniskowy. Po wojnie z jednej strony zakleszczył go cmentarz, z drugiej ruiny hitlerowskiego obozu Radogoszcz.

Dzieciaki wychodziły pod pomnik więźniów na papierosa.

Wyżebranego albo „zarobionego”. Taksa taka sama w komunizmie czy kapitalizmie: papieros za łaskę. Szelig mówił, że i dziś biorą tyle nastolatki z Pragi. I nie jest to wiedza policyjna a powszechna.

Dom dziecka. Miejsce pozostawione samemu sobie. Pod pomnikiem Radogoszcz zatrzymywały się fiaty, polonezy, a później pierwsze sprowadzane z Niemiec Zachodnich „merce”. Dzieciaki biegły do kierowców w podskokach. Jak jeździsz mercedesem, to palisz marlboro. Marlboro zamiast sportów, niebo w gębie.

Anna zatrzymała się przed ośrodkiem, gdzie Niebo naj-wyraźniej nie miało wstępu. Rozejrzała się: cisza i spokój.

Jak w piekle skutym emocjonalnym lodem. Zerknęła na zegarek: dzieciaki powinny być w szkole.

- Jak już mówiłam... - Dyrektorka domu dziecka zatarła ręce, jakby jej było chłodno i poprawiała zsuwający się z ramion sweter. Stały na zabudowanej werandzie. - Nic się pani od niej nie dowie. A przynajmniej nic więcej. To stara dewotka i nie chce zwolnić mieszkania służbowego... -

pokazała na dwupiętrowy barak wzniesiony tuż obok.

- Przekonam się sama - powiedziała Anna.

- Jak pani chce. - Widać było, że z jednej strony chce się schować do środka biura, a z drugiej nie ma ochoty puszczać dalej policjantki. - Pani nie za bardzo rozumie.

Te dzieci... One są wszystkie takie same. Czasem trudno odróżnić jedno od drugiego. A na kłopotach z nimi można stracić zęby.

Chyba, że jest się piranią jak ty, pomyślała Anna.

Tamta jakby czytała w jej myślach.

- To nie myje tu oddajemy. Próbujemy je tylko wyprowadzić na ludzi. Czasy się zmieniają, ale ich nie ubywa.

Kiedyś były to prawie same sieroty albo dzieci z rodzin społecznie niewydolnych. A dzisiaj? Mama z tatą jadą za pieniędzmi do Anglii, a dziecko ląduje u nas.

Z okna służbówki Adeli Szafarskiej spoglądał naklejony na szybę Ojciec Pio. Radio było nastawione tak głośno, że basy rezonujące w podniesionych żaluzjach zniekształcały transmisję, a Anna dobijała się tak długo, że resztki jej en-tuzjizmu zdążyły wyparować. Spadły poniżej zera, kiedy zobaczyła kobietę w przybrudzonej podomce. Siwe włosy na wałkach. Krzyż na bladym, chudym mostku. Lat sto albo trzysta.

- I co tam u Tobiasza. To on panią przysłał? - Nie najlepiej.

- A widzi pani... - Był już tu kiedyś?

- Odkąd dorósł? Nie. Może z raz kartkę napisał. Nie ma czasu. Ożenił się? Ma dzieci?

- Ożenił się, tak.

To i dzieci będą. Gra?

- Grywa.

- Jak był mały, opowiedziałam mu o Maksymilianie Kol-bem. I o Mozarcie. O tego Mozarta to by mnie pani nie podejrzewała? - Uśmiechnęła się figlarnie. - Ale dlaczego szuka go policja?

- Zaginął.

- O mój Boże!

- Znajdziemy go - powiedziała Anna szybko. - Nie wiemy, czy zaginął, czy... schował się przed kłopotami. Przyjechałam, bo myślałam, że może w dzieciństwie miał jakieś ulubione miejsce. Może ktoś z dalszej rodziny...

- Nie. To było samotne dziecko. Przychodził do mnie, bo wtedy jeszcze miałam fortepian po mamie. Z początku w ogóle nie wiedział, jak to się je. Dopiero później...

- Pani go uczyła?

- Takie tam domowe muzykowanie. Dostał się do szkoły muzycznej. Było z tego trochę awantur. Że dziecko z bidu-la... Pisma trzeba było pisać. Ale jak się pojawiły stypendia to i poszło.

- Mówił coś o wypadku?
- A skąd. Za mały był. Przeżył, zsunął się pod fotel. Przyjechał tu i czysta kartka.
- Lekarze go badali?
- Badali. Pomagali. Wrażliwy chłopiec. Zużywał więcej pościelowego niż reszta grupy.
- Tylko tak się wyróżniał?
- On w ogóle się nie wyróżniał. Jak nie chciał. - To skąd...
- Moje zainteresowanie? Bóg poprowadził. Dyrektorka miała, cholera, rację.
- Muzyka go ciągnęła. Trochę mnie to zdziwiło. Bo on był...

głuchy na innych ludzi. „Muszę nadgonić to co straciłem”, tłumaczył. A po którejś katechezie stwierdził, że jak przyjdzie pora, to ludzi pokocha. Obiecał mi to. Ale skoro ma żonę i dzieci, to chyba się udało.

Jak diabli mu się udało...

- Dzielny chłopiec. W ogóle nie dostrzegał złych stron ży-da* To nie łatwe, kiedy jest się sierotą.

Głuchy na ludzi, głuchy na zło. Kolbe, Mozart, Pio. Nie do wiary. Tobiasz istniał, a jednak go nie było. Nul plus mokre prześcieradło.

25.

Opowiada sobie w myślach dowcipy - lepsze to niż nuce-nie. Szczególnie dla byłego muzyka. Nie ludzi się, że wróci kiedykolwiek do sal koncertowych, tak jak nie może wrócić do ciepłego brzucha matki. Parias! Jedyne co chciałby odwiedzić, to kasyno. Sklep z lodami, tuż obok miejsca, gdzie kamienne lwy strzegły kina Moskwa. Dom Anny Hwierut.

Ciepłe uda kobiety. Wszystkiego tego pożąda i wszystkiego nienawidzi. Albo tak mu się zdaje. Ogluchł na muzykę i na własne myśli. Parias! Jak oni mogli mu to zrobić?! Aresztowanie przyprawiło go o największy szok w życiu. Tak mu wszyscy zazdrościli, jak wcześniej on zazdrościł.

Zabrzmiało prawie biblijnie.

Strategicznie krył się w bramie. I trochę się pocił. Miał

lepkie palce. Ostatnio tak pocił się i krył w bramie, kiedy na Nowym Świecie zauważył jednego ze swych profesorów: nauczyciela muzyki, o którym stugębna plotka mówiła, że jest dwubiegunowy, depresję zapija, a w okresach manii bije linijką po palcach co ładniejsze studentki konserwatorium. Wieńkowski zastanawiał się nad tym, czy pomyślał „zapija” czy „zabija”? Cofnąć, cofnąć mózgowe taśmy! Wtedy krył się w zaułku Nowego Świata i obserwował byłego profesora, który w szmatach kłozarda grzebał po śmietnikach. Już nie wróci do sal koncertowych... Parias. Parias.

„Co mówi trener bokserowi przed ostatnią rundą? Bij tego w krótkich spodenkach, bo ten w długich to sędzia”.

Gównu. „Wciąż jesteś naszym synem”, powiedzieli jego teściowie. Wzruszyły ich białe róże dla Klaudii.

Księżniczka żyje, tylko śpi. Gównu, spróbował akcentować słowo na innej nucie. Nigdy nie miał rodziców. Nie byli mu potrzebni.

Chciałby mieć siostrę. Tobiasz i Klaudia, małżeństwo, Tobiasz i Klaudia - rodzeństwo. Wiedział, dlaczego kupił te białe kwiaty. Nie mógł mieć siostry. Ani nikogo. Gównu, no. Parias!

Stał naprzeciwko domu rodziców Klaudii. Stał i zastanawiał się, czy nie złożyć im wizyty. Mieli rozklekotany fortepian, mieli gorącą herbatę, krew w żyłach. Mógłby im trochę jej upuścić. Za to, że wciąż zabierali coś co należało do niego.

List pokazał mu obrońca. Adwokat był flegmowaty i brzydził się swym klientem. A Wieńkowski brzydził się nim.

Świetny tandem. Zupełnie jak profesor i uczeń. Parias.

Pariasowi? Parysi. Pa pa pa. W kurewskim liście zamienione

"Wysoki Sądzie,

Formalności związane z pogrzebem naszej córki, załatwiał jej mąż, Tobiasz W. stał się w ten sposób dysponentem grobu.

Wysoki Sądzie,

Nie wyobrażamy sobie, aby Tobiasz W. mógł zostać po-chowany w jednym grobie z ofiarą swojego makabrycznego mordu."

Zimno mu.

„Chronić od światła i wilgoci”.

Jednak nic im nie robi. Tuż przed nim, ale po przeciwległej stronie ulicy zatrzymuje się znajomy fiat uno.

Wieńkowski cofa się, wycofuje w wilgoć i ciemność bramy.

Zimno go pochłonie.

Zimno go pochłonie, kiedy zobaczy, że oprócz „znajo-mych” Hwierut i Szeliga, w odwiedzinie wybrała się też Ona. Ta, która deklarowała swoją nienawiść.

Czarnulka. Grube, sztuczne futerko w kolorze błota (czy jej się wydaje, że w błocie można chodzić?) opina ciało, które zna tak dobrze. Ciało z żebrami twardymi jak fortepianowe klawisze, z policzalnymi kręgami.

Zimno mu! Parias! Zdarłby z niej to futro i otulił się w nie.

Ba, zdarłby z niej skórę, porzucił niepotrzebne kości, wszedł w skórę jak w gorący kombinezon.

Wnętrze kobiety trzyma ciepło.

Nie ma co tu tak stać. Nie ma powrotu. Jedyne co może zrobić w tej sytuacji to przyspieszyć. I wybiec z cienia.

26.

- Zamiast szukać tego wariata, przychodźcie tu i nas oskarżacie?! Gliniarze! - pogardliwie prychnął ojciec Klaudii Wieńkowskiej. Zaraz, jak on się nazywa? Przecież Anna pamiętała go doskonale. Przyjmowała zeznania od tego grubego faceta z zaczerwienionymi powiekami. Hoff, właśnie. Teraz Stefan Hoff nie był gruby. Za to blady, pod oczami

worki, które wyglądały jak wycięte ze zgniecionego papieru i doklejone- Operacja na żywym organizmie.

- Mówimy o zatajaniu ważnych informacji dla śledztwa -
powiedziała Anna.

Szelig, aż się wzdrygnął, kiedy siedząca w kącie, zapadnięta w telewizyjny fotel matka Klaudii przestała wyplakiwać się w chusteczkę, podniosła się i krzyknęła:

- W naszej rodzinie nie pierze się brudów publicznie. -A później z przerażającym uśmiechem powiedziała do męża -

to wszystko twoja wina.

- Przestań!

- To wszystko, nawet śmierć mojego jedyne dziecko.

- Proszę się uspokoić - Szelig przywarował przy fotelu. Dał znak Annie, aby ta wyprowadziła Hoffa do kuchni.

Kuchnia wyglądała jak z reklamowego katalogu. Tylko ulotny, nieprzyjemny zapach sugerował, że kosz na śmieci nie był chyba dawno opróżniany.

- Klaudia miała dwa lata. Jej matka wciąż się nią zajmowała. I co tu kryć... Mężczyzna ma swoje potrzeby. Miałem romans z sekretarką w mojej firmie budowlanej.

Dziewczyna zaszła w ciążę, była bardzo młoda, dałem jej pieniądze... Ale ona powiedziała, że zrobi to co uważa za słuszne. Więc urodziła się Joanna. Pod moim nazwiskiem... Sam dałem. Tyle, że kiedy sprawa się wydała, moja żona mało mnie nie zabiła. Obiecałem...

- Nigdy więcej nie kontaktować się z matką dziecka ani z dzieckiem?

- Z matką to ja nawet nie chciałem. A Joasia mnie sama w końcu znalazła. W pracy. Obracała się w trochę szemra-nym towarzystwie, nie studiowała, alimentów nie musiałem płacić... Ale zapisałem na nią mieszkanie po mojej ciotce. Zmarło się staruszce i była okazja.

- Żona się uspokoiła?

- Czas leczy rany - powiedział i tanio, i filozoficznie.

- Klaudia znała Joannę?

- Widziały się kilka razy. W końcu siostry. Szczerze mówiąc, zdumiało mnie, że Joanna była na ślubie... No i na weselu, może skumała się z tym Wieńkowskim? Jej chłopak służy w Iraku. W ciąży była, więc wprowadziła się do teściowej. Nadal tam mieszka, tylko dzieciaka nie ma.

Nie ma też hamletowskiego monologu.

Anna zawołała czekającą w przedpokoju czarnowłosą dziewczynę. Włosy przycięte na wysokości uszu, futerko, botki ze szpicem. Chuda.

- Czy to pana córka?

- Cześć tato.

Hoff wznosił teatralnie ręce nad głowę, jakby krzyczał tym gestem „znowu czegoś ode mnie chcą”.

- To moja córka. Joasia Hoff. Niech pani sprawdzi w USC.

- Joanna zgłosiła się do nas sama, kiedy opublikowaliśmy list gończy za jej szwagrem.

I po co to? A na pogrzeb Klaudii nie przyszedłeś. Własnej

- Byłam. Stałam z tyłu.

- A po co? Na ślubie wszyscy słyszeli twoje obcasy. Anna dyskretnie wsunęła się pomiędzy ojca, a córkę. Wiedziała jak się zachować w przeciwieństwie do tych dwojga.

- Nie zrozumiesz, tato. Ale chodzi o to, że Wiénkowski może być w moim starym mieszkaniu.

- A skąd miał wiedzieć, że je w ogóle masz? Nawet Klaudia nie wiedziała.

Anna uniosła brwi.

- Bo go sama tam kiedyś zaprowadziłam. Ja i Tobiasz...

Krzyki i przekleństwa. Aż do łaskawego rozładowania.

- Potrzebujemy dokładny opis tego mieszkania. I oczywiście klucze.

- Klucz jest na miejscu, ukryty nad drzwiami. Jeśli jeszcze jest... - Dziewczyna poprosiła o kartkę i coś do pisania.

Anna podała jej notes i pióro. Patrzyła, jak tamta gryz-moli.

- Dzięki.

- Nie ma sprawy.

- Mamy cię gdzieś odwieźć?

- Poradzę sobie.

W to nie wątpię, pomyślała Anna. Dziewczyna manipulowała przy swoim i-podzie. Nim się rozeszły, zabrzmiała muzyka.

Nosowska. Oczywiście. Jakby inaczej, „...pod polewą z lastriko...” „...pod polewą z lastriko...” „...pod polewą z lastriko...”

Szła do samochodu, a muzyka czepiała się jej ubrań.

Uno minęło skrzyżowanie Marszałkowskiej i Alei Jero-zolimskich. Wojtek Szelig siedział na miejscu pasażera i bawił się w przewodnika. Na razie przewodnika turystycznego a nie przewodnika stada. Korciło ją, żeby zapytać go o licencję.

- Tu właśnie stała Lodzia milicjantka i kierowała ruchem.

Anna chrząknęła, a Szelig się uśmiechnął.

- Najprawdziwsza schizofreniczka. Ale skądś potrafiła wytrzasnąć lizak i mundur. Milicjanci mieli z nią niezły zgryz. Kierowcy ją nawet lubili, bo była miła.

- I co się z nią stało?

- Pewnego dnia po prostu zniknęła.

Ciekawe, czy równie bogato może opowiadać o wybuchu Rotundy. Wojtek Warszawiak, dziecko zamkniętego miasta, rodzynek wśród napływowych. Rodzynek, ale nie jed-norożec. Jego rodzina sprowadziła się do Warszawy wraz z budowniczymi PKiN. „Jednorożcami” byli ci Warszawiacy, których zakorzenie sięgało czasów prusowskiej Lalki.

Dziwne miasto, mikre przy swoim legendarnym cieniu.

Jeden z dalszych kolegów Anny, właściwie przez krótki czas jej kochanek, lubił siadać na stopniach Empiku na Nowym Świecie. Gapił się na palmę Rajkowskiej, na budynek PAP-u. A kiedy już się napatrzył, to zamykał oczy i próbował rozróżnić marki samochodów po dźwiękach, jakie wydawały ich silniki. Chłonał hałas i był szczęśliwy.

Wyrwał się z mazurskiej miejsciny wprost do stolicy i czuł

się jak bohater. Anna go rozumiała. Samotników w Warszawie mniej boli samotność.

- Jeździliśmy na Zalew Zegrzyński, żeby szukać Paskudy -

Wojtek wciąż klecił legendy miejskie.

- Paskudy?

- Taki polski odpowiednik potwora z Loch Ness.

- Jak polo-cocta?

- No. Może zabrałabyś dzieciaka nad Zalew?

- Ma dosyć potworów w komputerze. Zresztą przysiągł się nie odzywać aż do mojej menopauzy - wdepnęła hamulec, bo jakiś wariat wcisnął się tuż przed nich. Samochody były niebezpiecznie blisko.

- Może dziadek mógłby na niego wpłynąć?

- Pokłóciłam się z nim. - Przypomniała sobie nocny telefon. Nocny wykład o braku odpowiedzialności, tnących ostrzach, zachowaniach macho. Nie podnosiła głosu. Ale kiedy zadzwoniła później (nie była pewna, czy po to, aby przeprosić czy bardziej pokrzyzczyć) ojciec był już pijany.

Szelig westchnął.

- A czy to nie ty chciałaś, aby dziadek miał na Kubę „męski wpływ”?

- Męskim wpływem nazywasz podarowanie dzieciakowi jakiegoś ostrego jak brzytwa kindżału?

- Anka, to ty się bałaś, że Kuba w końcu zacznie się bawić lalkami i wyrośnie na geja.

- Nie mam nic przeciwko gejom...

- ...dopóki nie są moimi synami. Ojczyzno! - uzupełnił

uczynnie i uroczyście Szelig. - A ojciec Kuby wciąż się nie odzywa?

- Nie. - Nacisnęła niepotrzebnie klakson. - I wiesz co, wołałabym, żeby tak zostało.

Chichocząc Szelig obronnym gestem osłonił jądra. Jechali po Tobiasza Wienkowskiego.

Skręcili w ulicę Żelazną i zaparkowali tuż za zakrętem.

Dalej poszli pieszo. Szelig patrzył na numery, w końcu wskazał odrapaną kamienicę.

- To tutaj. - Podrapał się po głowie. - Nie nasz rewir...

Trzeba wezwać kogoś stąd.

Pokiwała potakująco głową, ale powiedziała:

- Moglibyśmy najpierw się rozejrzeć.

- Sprawdzić, czy jest w domu - dodał szybko Szelig.

- Tak, w domu - powtórzyła Anna. - A jeśli go nie będzie?

- Od razu dzwonimy. - Tak...

- Mam wrażenie, że chciałybyś go złapać sama.

Uśmiechnęła się słysząc kobiecy zwrot w jego ustach.

- A ja mam pewność.

- Pewność co do czego?

- Że chcę go sama złapać, ale nie wiem, dlaczego.

- To wejdźmy na górę i przekonajmy się.

Wdrapali się po śmierdzących kocim moczem schodach.

Drewniane stopnie na metalowych kratownicach trzeszczały pod butami. Dzwonek był równie zużyty -

staroświecki bakelit, opalony przez niecierpliwego gościa płomieniem zapalniczki. Zabrział jak gong, ale nie wywołał nawet ducha.

- Nie ma go.

- Albo nigdy nie było.

- To dobra meta. Na krótki czas, ale dobra. - Wojtek Szelig wspiał się na palce i zaczął obmacywać futrynę. Klucz sam mu wpadł w palce.

- I co teraz? - Pokazał go Annie.

Zanim odpowiedziała, uchyliły się drzwi po przeciwnej stronie korytarza. W prześwicie zobaczyli dzieciaka, który ledwo sięgał głową do klamki.

- Nikogo nie ma w domu - powiedział.

- Dzięki, a teraz znikaj - Szelig zrobił krok w jego kierunku.

Drzwi się przymknęły, ale klamka nie trzasnęła. Mały podglądał.

- Zamknij drzwi, mówię. Bez efektu.

- W ogóle nas tu nie ma - mruknęła Anna, wyciągając rękę po klucz.

~ Gdybyście dali piątaka, to nic bym nie widział - odezwał się głos ze szpary.

Szelig pokręcił głową w niemym podziwieniu i sięgnął do portfela.

- Siedź w domu. I cisza. Nic nie widziałeś.

- Dobrze, proszę pana - tym razem drzwi domknęły się dokładnie.

- Grzeczne dziecko - stwierdził Szelig.

- Pewnie. A ty masz dryg wychowawczy. Powinieneś po-starać się o swoje.

Oniemiała widząc czysty, niezniszczony parkiet ułożony w artdekovską mozaikę. Był piękny. Ale tylko on. Dalej było to czego się raczej spodziewali: wybrzuszona farba, grzyb na suficie. Zimny piec w pustym pokoju.

Pachniało jak w szmateksie. Na kanapie nie było ani poduszki, ani koca. Za to kilka starych okryć, kilka czapek Nastole, na gazecie, leżała połówka chleba. Wojtek Szelig postukał w niego palcem,

mocniej nacisnął kciukiem:

- Jeszcze miękki. A to obecne „ulepszone” pieczywo wy-trzymuje jeden dzień...

Anna kiwnęła głową. -Był tu.

Zamyślona, opuszką palca zebrała okruszki. Szelig rozglądał się po pomieszczeniu,

- Dzwonię po miejscowych i robimy kocioł. - Uhm.

— Anka, ty lepiej jedź do domu i choć raz się wyśpij.

- On tu już nie wróci - powiedziała spokojnie.

- Tobie też mam dać piątaka?

„Laska za papierosa. Za jednego papierosa”.

To nigdy nie przejdzie do przeszłości.

Jest zmęczona po robocie, a w ustach czuje cierpkość po zbyt dużej ilości wypitej kawy. Szkoda, że grzech nie smakuje tak gorzko, wtedy rzeczywiście jako policjantka nie byłaby nikomu potrzebna. Mogłaby nawet sprzedawać te mityczne prażone migdały na Nowym Świecie.

Winda się ślimaczy a Anna nie zniesie teraz w jej ciasnej klatce żadnego z sąsiadów. Na szczęście nikogo nie ma.

Przegląda się w zawieszonym wewnątrz lustrze. To ja, tak teraz wyglądam, myśli. Jednak nie ocenia tego co widzi.

Na jej piętze jest ciemno, znowu ktoś ukradł żarówkę.

Albo się przepaliła. Lampa jest dokładnie nad jej drzwiami, sąsiedzi oczekują więc automatycznie, że to ona będzie wkręcać nową. Cholera jasna, nie mają tu nawet zsypu z prawdziwego zdarzenia, z przeszkloną szybą, który mógłby rzucać trochę światła - jest tylko żelazna szuflada w ścianie. Ciągle blokowana przez duże plastikowe butelki.

Staje przed swoim mieszkaniem. Klucz nosi na smyczy przy spodniach — nie ma sensu dzwonić, zabarykadowany Kuba nie opuści swojej reduty. Chyba, żeby się paliło. Po omacku próbuje zlokalizować zamek, w końcu trafia do niego kluczem.

W przedpokoju pali się światło. Mokre plamy stóp prowadzą z łazienki do pokoju syna. Dobrze, że nie mają par-kietu...

Myśli o podłodze, kiedy na jej plecy spada jakiś ciężar.

Odruch policjanta: sięgnąć po broń, ale przecież nie ma broni! Odruch ofiary: chce krzyczeć, ale nie może, bo jakaś ręka zaciska jej się na ustach. Ręka o dużych palcach. W

zasadzie to nie wie, która myśl była pierwsza: broń czy krzyk. Czuje się bezbronna czy wściekła?

Dzięki, dzięki ci Boże, że Kuba jest u siebie zatrzaśnięty.

Czy jednak hałas nie wywabi go na zewnątrz?

Nagłym szarpnięciem Anna próbuje wyrwać się napastnikowi i wyprowadza cios łokciem. Tamten jest wyższy niż się spodziewała i nie trafia w krocze. Jednak jest wolna.

- Kuba, nie wychodź!!! - wrzeszczy i rzuca się do przodu.

Jest przekonana, że sobie poradzi. Zrzuca wazon z komody. Suszaki rozsypują się i układają jak bierki na początku pojedynku. Porcelana pęka... Nie ma noża.

A jednak Kuba go znalazł.

Odwraca się i obrywa prosto w przeponę. Tobiasz Wiankowski poprawia uderzając na odlew, strach zmieszany z podnieceniem dodaje mu sił i szybkości.

Kiedy Anna próbuje odzyskać oddech, Wleńkowski wyrywa telefon ze ściany.

Szkielet zawieszony na drzwiach jednoznacznie znakuje pokój jako własność chłopca. Anna nie nosi obrączki. Tyle mówią o nas rzeczy martwe. Od wrzasku przedmiotów można ogłuchnąć.

- Piśnij tylko a cię zabiję. A później dobiore się do gnoja -

mówi szybko i trochę niewyraźnie. - To samo dotyczy ciebie - rzuca do szkieletu z tektury - wrzaśnij a po matce.

Z rozkładu bloku Wleńkowski wie, że to mieszkanie nie ma balkonu. Nie da się przejść do sąsiadów. Hałas? Na kursach samoobrony uczą, krzycz: „Pali się!”. Jeśli przypadkowy świadek nie poczuje się zagrożony, to nie pomoże ofierze. Tra la la. Muzyka gra.

- Wyłaż gnoju - mówi do szkieletu. I do Anny - rozbieraj się.

- Nie rób krzywdy mojej mamie!

- Wszystko zależy od ciebie - mówi Tobiasz w przestrzeń.

Odbiorca sam się znajdzie.

Anna nie myśli, zaczyna ściągać ubranie. Jest jej tak zimno, jakby wpadła pod lód.

- Dalej...

- Mamo - ktoś mały, wyczerpany ze strachu, mocuje się z komodą. Czy dzieci czują ból, kiedy przeciskają się przez kanał rodny na świat?

- Nie otwieraj! - rozkazuje rozpaczliwie Anna. Wienkowski się uśmiecha.

- Dalej, dalej cipo. Cipa. Chcę ją zobaczyć. A ty synku? - pyta szkieletu.

Anna zdejmuje stanik, zwleka, później zsuwa majtki.

Przebiec do pokoju. Nie, przebiec do kuchni. Po co? Po co do kuchni?...

Anno, gdzie jesteś? Daleko, głęboko.

- Myślisz, że chcę cię pieprzyć? - Wienkowski zakłada na swoje palce kastet. Uderza metalem o zabarykadowane drzwi. - Stuk, puk, zgadnij synku co tak stuka.

A potem bierze zamach i uderza ją w brzuch. W żebra, znowu w brzuch. Mniej celnie, nie ma zbyt dużego doświadczenia z tym narzędziem. Mocno trafia ją w biodro.

- Chciałabyś, żebym cię pieprzył.

Anna robi wszystko, żeby nie krzyczeć. Słyszy jęk - nie swój, chłopca.

Naga kobieta i mężczyzna, który nieostrożnie zatracił się w biciu, w zemście. Trupioblady chłopiec, o skórze parującej po niedawnej kąpieli. I prezent od dziadka, zaciśnięty w jego rękę.

Chłopak szoruje pośladkami po podłodze, niczym pies, który ma robaki przesuwając się do tyłu.

Mężczyzna gwałtownie próbuje utrzymać równowagę, ale w jego stronę wystrzelują kobiece nogi i mocno uderzają. Anna odpycha się rękami, próbując powstać, ale ból jest silny. Upada do przodu, ręka z paznokciami pociągniętymi bezbarwnym lakierem na ślepo maca w poszukiwaniu noża.

Jeśli będzie musiała, to jak wilcza suka zagryzie tego skur-Nóż opada. Osuwa się po kręgosłupie. Spada na podłogę.

wysyna. Zagryzie go jak wadera. Ramię prawie wyskakuje ze stawu, ale ma już broń.

Uderza trafiając ostrzem w okolice nerek. Mężczyzna nie jest nagi, ale dla niej jest przezroczysty. Wygląda jak anatomiczny eksponat. Precyzyjne uderzenia po raz drugi, trzeci. Pamięta, gdzie trzeba uderzać - nagły strumień krwi zwiastuje krwotok i pewną śmierć tego śmiecia, ale Anna nie potrzebuje zwiastowania.

„Nie czekaj, tylko strzelaj”, słyszy głos ojca. Głos dziadka. I dziecięcy wrzask w ciemnym korytarzu. Bardziej przenika-jący niżby gwałtowna jasność.

Już dobrze. Już dobrze. Anna słyszy oczekiwany krzyk dziecka. Skończyło się.

Przewraca się na bok. Odpocznij. Śpij. My zajmiemy się resztą. Podciąga nogi do brzucha. Boli, gdzieś daleko boli.

Osobno jest ona i osobno ból. Spływa na nią otępienie.

Tym razem Pietrzak uparł się, żeby wzięła urlop. I była jeszcze tamta lekarka, mówiła coś do Anny w swoim steryl-nym gabinecie, ale do policjantki nie docierały słowa. Kobieta poruszała ustami jak ryba, a później przez długość wypucowanego, wypieszczonego biurka podała Annie

„tabletki na poprawienie nastroju”. Anna wzięła je ze sobą; trzymając jak odbezpieczony granat zaniósła do swego splugawionego domu i wrzuciła do ubikacji. Zapaliła papierosa.

Była sama. Kuba pojechał do Krakowa, po tym jak jego dziadkowie stoczyli ze sobą krwawą rundę o to, kto zajmuje się wnukiem. Cywile wygrali. Kuba wróci z pluszowym zielonym smokiem ze straganu pod wzgórzem Wawelskim albo z glinianym ptaszkiem spod Sukiennic. O

ile jeszcze sprzedają takie ptaszki. Nalewało się do nich wody i wtedy zamieniały się w wyrafinowany gwizdek...

Wściekle gwizdzący handlarze, rzędy glinianych ptaków, których nawet mały Chrystus nie zmusiłby do lotu, i obowiązkowo wiadro z wodą. Dwie wieże kościoła Mariackiego. Jedna niższa od drugiej. Pierwsza wzniesiona przez zamordowanego brata, druga przez brata

- mordercę. Albo na odwrót.

Zgodnie z jej oczekiwaniami, Szelig zadzwonił tylko kilka razy, składając niezręczne życzenia powrotu do zdrowia.

Policjant nie policjant, kiedy robiło się smutno wiał jak wszyscy.

Kiedy robiło się smutno, Kuba i ona, dawno temu, budo-wali z koców i krzeseł namiot pośrodku pokoju. Później kryli się w jego wnętrzu. Konstrukcję należało sprzątnąć nim zjawi się dziadek.

Zastanawiała się, czy nie powinna pojechać do Otwocka, zobaczyć co z Wilkiem. Albo na grób Klaudii Wieńkowskiej.

Ty tu leżysz samiuteńka... A ja. Bez znaku zapytania. Ja.

Anna wsłuchiwała się we własną tętniącą krew.

Odrzuciła pomoc sióstr zakonnych.

Niby przypadkiem wpadła na komendę i dowiedziała się, że Mariolkę ktoś pobił. Zwykły rozbój w biały dzień. Cios w twarz, wyrwana torebka i w nogi. Złodzieja ukrył tłum przelewający się przez Śródmieście.

Centrum, według najnowszych badań statystycznych, stało się bardziej niebezpieczne od Pragi. Gwizdź na to. To nie jest jej rewir. Policjanci ze Śródmieścia na Woli mordują własne dzieci... Ona swoje dziecko ocaliła a może to dziecko ocaliło ją?

„Przyjdzie dzień, kiedy umrę, a mój syn zostanie całkiem sam”.

Łamiąc ustawę o ochronie danych osobowych i korzystając z wątpliwego statusu ofiary (wątpliwego, bo od ofiar sta-tystycznie częściej się ucieka niż się im pomaga) wyciągnęła od dziewczyn z księgowości adres Marioli.

- Chyba nie chcesz jej odwiedzić? - usłyszała. Mająca obsesję na punkcie swojej prywatności Mariola na pewno nie byłaby zadowolona nawet z wizyty kolędników.

- Chcę wysłać jej kwiaty - nagle przyszła jej na myśl po-rzucona wizytówka. Porzucona wizytówka tamtej smutnej kobiety. Nasza klasa...

Zapach ciętych kwiatów kojarzył jej się z pogrzebem a nie weselem. ___

Stała przed podłużnym, futurystycznym wazonem pełnym herbacianych wybujałych róż. Tak, przyznała sama przed sobą, te są piękne. To był jej ulubiony rodzaj kwiatów w dzieciństwie. Później przeczytała, że taką odmianę wyhodowała Józefina po rozstaniu z Napoleonem. Smutne róże.

- Proszę nie stawiać przy oknie. Kwiaty tak jak ludzie nie lubią przeciągów - sprzedawczyni wbijała sumę na kasę fiskalną. Była to duża kobieta, w sile wieku, z kołpakiem kruczoczarnych włosów spiętych w kok na czubku głowy.

Nosiła dużo złota. - W czymś jeszcze mogę pomóc?

- Tak... Chciałam wysłać te kwiaty.

- Wiązanek? - Kobieta wykorzystała pauzę. - A może ike-banę? Mamy piękne zestawy w doniczkach ze strusich jaj.

- To świetny pomysł. - Drzemiącej w Marioli snobce to by się spodobało. Anna miała nadzieję, że ani ta cecha, ani inne w wyniku „wypadku” nie uległy deformacji. Podała adres.

- Kwiaty doręczymy jeszcze dziś.

- Zastanawiałam się... Znajoma na ślubie miała piękny bukiet. Niedługo następne wesele, czy gdybym go opisała, udałoby się zrobić taki sam.

- Mogę spróbować.

- Wydaje mi się, że tamta znajoma zamawiała kwiaty właśnie tutaj. Mówiła, że florystka nazywa się...

- Anna Tomczuk - wyciągnęła rękę. - Cieszę się, że jestem osobą godną polecenia.

Cięte kwiaty pchną rozstaniem. Pachną pogrzebem. Woda stoi w kałużach.

Stała przed frontem Zakładu Medycyny Sądowej i przyglądała mu się, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu. Obok drzwi ktoś odważny wysprajował graffiti: „Ci którzy tu wstępujecie, porzucicie wszelką nadzieję.”

Zazgrzytała zębami. Idzie nowe: nad drzwiami przyśrubowano tabliczkę: No smoking. Ach ten międzynarodowy język! Te międzynarodowe złudzenia!

Najchętniej położyłaby się spać w jakimś bezpiecznym miejscu, bezpiecznym i z popielniczkami. Spa dla poturbowanych._

- Jak się czuje Kuba? - usłyszała najpierw kroki, a później głos Wojtka Szeliga.

- Chyba dobrze. Jest w dobrych rękach - odpowiedziała, bo przecież tego oczekiwał. Policjant nie policjant, każdy czeka na happy end.

Mój syn zapamięta tamten wieczór do końca życia. Zgruchotane szkło krzyczące pod podeszwami butów, zapach krwi nie do pomylenia z żadnym innym. I widok, który powróci którejś nocy, niejednej bezsennej nocy - obraz nagiej, klęczącej matki wypalony na oku wspomnień niczym portret mordercy w żrenicy nieboszczyka. - A ty?

Co u ciebie?

Myślałam, żeby się przeprowadzić. Myślałam, żeby trzasnąć to w diabli. Żeby nigdy do żadnego z was nie odezwać się słowem.

- Czuję się wspaniale.

- Wspaniale? - zmarszczka przecięła jego czoło.

- Tak. W końcu podarowano mi drugie życie.

Zerknął raz jeszcze, jakby upewniając się, czy nie oszukuje, ale w sumie musiała poradzić sobie z tym sama. Jego zadaniem było wprowadzić ją w głąb kostnicy.

W korytarzu siedział mężczyzna po identyfikacji zwłok żony. Twarz trzymał ukrytą w dłoniach, łokcie miał wbite w uda. Gęsta czupryna dwudziestoparolatka, świeżo wyprane jasnoniebieskie dżinsy, z długimi nogawkami opadającymi na brązowe buty o grubej gumowej podeszwie. Polska klasa średnia.

Anna domyślała się, że facet do końca nie wie ani co się z nim dzieje, ani gdzie się znajduje.

- On ją znalazł... Powiesiła się w szafie. Założyła pętlę zrobioną z męskiego paska od szlafroka i uklękła. Musiało bardzo jej zależeć. Samobójstwo bez dwóch zdań -

raportowała Luiza. - Kobieta, lat dwadzieścia cztery, proporcjonalnie zbudowana, blizna po cesarskim cięciu.

Żadnych śladów walki z wyjątkiem autoprzemocy. -

Zerknęła do notatek. - Zidentyfikowana przez męża jako Małgorzata Łoczkowska.

- Małgorzata?

- Tak, Małgorzata Łoczkowska. Anno...

Anna uciszyła ją gestem dłoni i uniosła prześcieradło. Piersi były zsiniałe charakterystycznie przy tym rodzaju śmierci. Wokół dużych sutek rozstępy z okresu dojrzewania.

Anna czuła wzrok Szeliga, świdrujący środek jej czoła.

W końcu opuściła tkaninę i spojrzała na zmarłą - włosy układały się w fale wokół twarzy, którą Anna знаła. Którą rozpoznała, kiedy tylko tu weszła. „Anna”-Małgorzata czy raczej Małgorzata-„Anna”. Fałszywa florystka, prawdziwa samobójczyni.

Ani Luiza, ani Wojtek nie wiedzieli jeszcze, że przed nimi kolejne śledztwo. Ktoś na chłodno

zaszczuł tę kobietę.

Anna przeprosiła i wyszła.

Dopadł do niej Łączkowski. Włosy sterczały mu wściekle na wszystkie strony, jakby przed chwilą pragnął zedrzeć sobie z głowy skalp. Średnio rozgarnięty chłopak o przeciętnej urodzie. Dotarło już do niego, że został sam z dzieckiem i ratami?

- Gosia... - Chwycił policjantkę za przeguby. Palce miał nieprzyjemnie wilgotne od potu. - Gosia często mówiła, że źle się czuje.

Anna wciąż była niebezpiecznie przeczulona na dotyk. Na męski dotyk.

- Gdy kobieta mówi, że źle się czuje, to znaczy, że jest nieszczęśliwa.

Puścił ją od razu. I tym razem nie było to miejsce ani czas, gdzie człowiek czy Bóg mogli udzielić rozgrzeszenia.